



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W tym numerze: 28 stron arcyciekawej lektury: wierszy, publicystyki kulturalnej, prozy, recenzji, esejów, felietonów. Jubileusz 10-lecia Oddziału ZLP w Gorzowie, recenzje nowych książek pisarzy gorzowskich, m.in. Marka Piechockiego „Preteksty” i Jerzego Gąsiora (Gašiora) „Bliziej”. Fotoreportaż z gali XVIII Konkursu im. Z. Morawskiego, prezentacja dwóch znakomitych poetów Tadeusza Szklarskiego i Marka Stachowiaka oraz jak zwykle satyra: wiersz Głodziaka, humoreska Janusza Włodarczyka o kłopotach Robin Hooda. Aktualności literackie.

Tadeusz Szklarski

* * *

Poeta nie żyje poeta pisze
wyciska soki z powietrza
łapie ulatujące dymy
czierpie z bałwanów chmur
i odprysków źródłanych fal
Nie ma go dla nikogo
bo Muza co nad nim czuwa
odpędza gapiów i natrętów
lichwiarzy komorników i listonoszy
Dopuszcza tylko kolorowe ćmy
i poranne motyle



* * *

Poeta musi dotknąć dna
choćby przez metaforę
w wierszu głuchym na obraz
w obrazie zamkniętych oczu
w bezwstydy ukrytym w płatkach róż
oddać się całym sobą
choćby w nieobecności
w cielesnej powłoce snu
Bo nie wiadomo
co jest pod spodem
pod warstwą obaw
w nieśmiałości słów
Bo coś jest na pewno
co wzrusza
zastygłą bryłę wiedzy
i mądrości
Jest coś więcej

(czytaj „Pan Gabe” na s. 4)

Marek Grewling

KIM Z ZAWODU BYŁ VIVALDI?

Pytanie niczego sobie, tak samo jak pytanie, kim z zawodu był na przykład Władysław Broniewski? Czy ktoś może odpowiedzieć „z marszu”? Albo Wisława Szymborska? Wie ktoś, kim była z zawodu? Z wykształcenia? A Jacek Dehnel, współczesny poeta i prozaik, cóż może porabiać w swojej pracy? Odpowiem zaraz, bo w ostatnich dniach tych pisarzy i ich dzieła niejako oglądam z bliska.

„Broniewski miłość, wódka, polityka”, autorstwa Mariusza Urbanka, „Pamiętkowe rupiecie, biografia Wisławy Szymborskiej” Anny Bikont i Joanny Szczęsnej oraz nieocenionej urody „Matka Makryna”, nowa powieść Jacka Dehnela, to pozycje książkowe, które ukazują czytelnikowi postaci nietuzinkowe, niejednobarwne i niełatwe do zaklasyfikowania. Jednak po spotkaniu z każdą z tych osób – należy nadmienić, że każda z nich jest postacią historyczną i rzeczywiście działającą w swojej epoce (odnoszę to szczególnie do postaci matki Makryny) – rozstajemy się z nimi w przyjaźni i ze zrozumieniem ich życiorysów i postaw.

Dwie pierwsze książki to doskonale dzieła biograficzne o tytanach polskiej poezji Władysławie Broniewskim i Wisławie Szymborskiej. Dodać wypada, że tytanach obrzucanych błotem zaszłości, niezrozumienia i niskich pomówień. Tak Broniewski, jak i Szymborska za życia i po śmierci spotykali się z ostracyzmem ciemnogrodzkich oskarżeń, z zarzutami ideologicznymi, a po dziś dzień ciąży na nich odium kolaboracji. Bo u nas nieważne, co się stworzyło i kim się jest. Ulubioną wszak rozrywką gawiedzi jest drażnienie życiorysu oraz pracowite dociekanie „kto komu służył i jaki zawód wykonywał”.

Kwerendę najlepiej rozpocząć od dzieciństwa. Dlatego tak Urbanek, jak i Bikont oraz Szczęsna poczynili solidną eksplorację sięgającą wczesnego dzieciństwa bohaterów swoich badań. Detale z dzieciństwa dwojga poetów, wiele smakowitych historii ich wczesnej młodości niekoniecznie szeroko znanych, a dodają-

NOWE ROZDANIE

W codzienności dookolnej uczestnika życia kulturalnego miasta średniej wielkości – spotkań, koncertów, wernisaży i premier – omal nie zauważyłem, że w najbliższym mi, literackiej branży zbliżył się dzień grudniowy – osiemnasty, w którym dziesięć lat temu w willi WiMBP, jeszcze bez imienia Herberta, ale z tablicą Papuszy, powołaliśmy w Gorzowie Oddział Związku Literatów Polskich. Była miła gala z udziałem władz miasta i województwa, prezesa ZG ZLP Marka Wawrzkiwicza, którego dziś medycyna zmogła, więc go serdecznie, w wigilię tej magicznej daty, na odległość pozdrawiam. Dziś obchodzimy to prawie niespodziewane dziesięciolecie w pięknym i dużym gmachu biblioteki, nowoczesnie wyposażonym, w którym mamy swój dla naszych spotkań salon, z naszymi na ścianie „gębami”, piórkiem Zbyszka Olchowika wyczarowane. Mamy tu swój dom oraz przyjazną literaturze i literatom atmosferę.

Dzięki za to wspomniałym damom księżnicy: Danucie z Działu Informacyjnego i Annie z sekretariatu, Marzenie – w dyrektorskim gabinecie po prawej, a nade wszystko temu w gabinecie po lewej – Edwardowi Najważniejszemu. I WSZYSTKIM innym, którzy książkom i ich twórcom oddają swoje codzienne zajęcie. My, ile możemy, zasilamy księgozbiory naszego patrona. Przez te dziesięć lat Biblioteka Pegaza Lubuskiego wydała 65 woluminów. Wszystkie trafiły na półki centralnej wypożyczalni, czytelnicy i miejskich filii. Ale także do Biblioteki Narodowej, bibliotek uniwersyteckich i większości wojewódzkich. A i sam nasz „Pegaz” nie miałby możliwości trafić do Waszych rąk, gdyby nie życzliwość Edwarda i Jego ludzi. Jak na razie nie zapowiada się na zmianę. Jak to miało miejsce niedawno w tym mieście...

Stało się tak, jak życzyłem sobie i Wam, w „Piosence Wyborczej”, w poprzednim „Pegazie”, na tym samym miejscu. Polecałem zwłaszcza tę zwrotkę:

*Skołowany, doświadczony porażkami,
Stajesz dzisiaj przed trudnymi wyborami:
– Albo dać się poprowadzić pięknym słowom,
– Albo myśleć swoją, wreszcie – własną głową.*

Pomyśleli gorzowianie i wybrali sobie nowego chłopca do bicia przez nowo wybranych rajców miejskich i sforę pomniejszych politycznych ujadaczy. Na razie młody, nowy prezydent unika powodów do bicia, choć już w sprawie forsiastej za złe mu niektórzy mają na antenach, że akceptuje budżet poprzednika. A ilu nad nim pracowało? Imbecyle jacyś, czy odpowiedzialni, też kochający to miasto ludzie? Chociaż bez szyldu „Ludzie dla miasta”. Myślę, i daj Bóg, że młody, ale już nieźle otrząskany w rządzeniu, szeryf da sobie radę w niewiele większym od swojej gminy Gorzowie, budżet przeświecili, adaptuje pod swój program, podrasuje i powoli wyjdzie na prostą.

I może także zajrzy tu do nas, na „Pegazowe” promocje, weźmie do ręki, a nawet przeczyta jedną, drugą, n-tą naszą książkę. I że znajdzie w niej dla rozumu intelektualne wsparcie, a dla serca wzruszenie.

Ireneusz K. Szmidt

cych poetom kolorytu i smaku ludzi osadzonych w bardzo realnej i zdemitologizowanej rzeczywistości. Tak właśnie dowiadujemy się o wyczynach kawalera Virtuti Militari, kapitana Wojska Polskiego, Władysława Broniewskiego na froncie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Przy okazji okazało się, że jego zawodem wyuczonym (i ukochanym) była żołnierka. Broniewski z dumą nosił baretkę Virtuti i kapitańskie gwiazdki. Los długi, drogi kręte, życie barwne. Wielobarwne.

Podobna w układzie jest historia Isi, Wisi lub Wisły – jak najbliżsi i przyjaciele nazywali Wisławę Szymborską. Kto by na przykład przypuszczał, że przyszła kongenialna i zdroworacjonalna laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie literatury ukończyła ekskluzywnie przedwojenne katolickie gimnazjum prowadzone przez siostry urszulanki? Kto dzisiaj pamięta, że Szymborska od samego początku PRL-u pracowała jako dziennikarka, a raczej redaktorka i recenzentka w pismach społeczno-kulturalnych i literackich? Kto jest w stanie zrozumieć stan ducha i umysłu bardzo młodej kobiety, która, nomen omen, wierzyła w sprawiedliwość społeczną? Autorki tego biogramu pracowicie doszukały się takiego na przykład szczegółu, że Wisława już w latach sześćdziesiątych minionego stulecia wyleczyła się z wiary w sprawiedliwość społeczną i oddała legitymację partyjną, co wiązało się z utratą stanowiska pani redaktor. A jednak pozostała pogodzona ze światem i postrzegająca go do końca swych dni z dystansem sine ire et stientia.

Odnosnie do profesji Jacka Dehnela – na ten temat wiadomo niewiele, właściwie nic, bo pisarz nie upublicznia szczegółów swojego życia pozaliterackiego. Ale zaiste nie to jest ważne. Chociaż w tym przypadku musimy z żalem powiedzieć: nie wiemy, kim z zawodu jest Dehnel. Ale żal to pozorny. Nas zajmuje twórczość tego młodego pisarza. A jest się nad czym zatrzymać. Jego ostatnia książka pt. „Matka Makryna” jest wybitna i wciągająca zarazem. Proza skonstruowana jako dwugłos narracyjny jest świetnym pomysłem. Podobnie jak udany zabieg napisania jednego ze strumieni narracyjnych dziewiętnastowieczną polszczyzną. I niezależnie od wiedzy czy niewiedzy o zawodzie pisarza znaczące jest to, co napisał i jak to napisał.

Przepraszam, że dotykam takich kwestii, ale sam spotykam się ze wścibstwem różnych „tropicieli prawdy”, którzy chcieliby wiedzieć o mnie wszystko, łącznie z rozmiarem buta „i jak to wpływa na pańską twórczość”... oczywiście gwoli prawdy.

Z drugiej strony cieszę się, że mogłem przedstawić tak wybitne osobowości literackie jak Szymborska, Broniewski czy Dehnel. O jakości ich dzieła decyduje literacka wrażliwość, talent, czytanie i szczypta tego, co, jak powiedziała kiedyś Wisława Szymborska, jest niematerialne, bo nadaje słowom nowe życie w połączeniu z innymi słowami, które dobrać potrafi tylko poeta. A zawód? Wyuczony? Czy nie ma znaczenia? Czy nie rzutuje na twórczość? Pewnie jakieś ma i pewnie jakoś rzutuje. Szekspir z zawodu był dworskim guwernerem. A kim z zawodu był kompozytor Antonio Vivaldi? Antonio Vivaldi był księdzem.

Marek Grewling

Władysław Łazuka

* * *

Mniej dnia
więcej wieczoru
idzie zima

W świetle kartki
litera do litery
kilka słów

* * *

W chłodzie krajobrazu
stygnie herbata
rozpływa się dym
znad ogniska i wiersz
którego nie umiem oswoić

ŚWIT W ZIMIE

Na tafli jeziora
przeciąga się biała
cisza
jak przebudzony gronostaj

Janusz Włodarczyk

WĘDROWIEC

Stał w otwartych drzwiach,
W łachmanach, drżąc z zimna.
Włosy zlepione potem i krwią,
Pokornie spuszczone oczy:
– Zaprosicie mnie do stołu...
– To tylko jakiś menel.
Zatrzaśnięte z hukiem drzwi
Zagłuszyły dźwięki kołedy.
Wyciągnięta, przebita dłoń
Zawisła w powietrzu.
Podniósł zasmucone oczy
Zobaczył pierwszą gwiazdkę.
W pobliżu nie było
Stajenki...

* * *

Zielnym bluszczem oplątani,
Zatopieni we własnym Ja,
Zapominamy.
Że tuż obok nas.

Zielonym bluszczem oplątani,
Zatopieni we własnym Ja
Żyją tacy sami. Zapomniani.

Marek Grewling

APOKALIPSA

Jan niedowidzi, jego oczy zasłania
ślepotą, która uniemożliwia
podziwianie piękna tancerek
z baletu, czy z tańca z gwiazdami

mówi do syna:
„Po co w tej telewizji
same tancerki? Mam ich dość”.

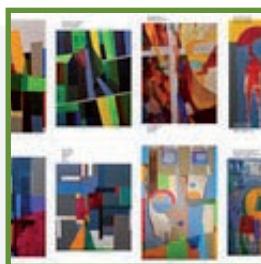
Syn przytakuje.
Jak na syna przystało.

Jan myśli, tak naprawdę – nie wiadomo co.
Jan jest stary i odbieranie telefonów
od syna to problem
tym bardziej odebranie tego telefonu,
ustawienie słuchawki w należyтым położeniu,
trafienie na małżowinę żeby głos dotarł
do konającego mózgu,
a syn skarży się:
„Boli mnie ten świat”
„Cierpię tato”

Jan naprawdę jest wielki w swej starczej
słabości – nie szkodzi więc, że głosi synowi
ewangelię godną swej niemocy
(później napiszą: „Niezwykłą”)
ewangelię od rzeczy

prawi o córce babilonu
o smokach z siedmioma rogami.

Syn słucha.
Wszak jest synem.
Powtórzy światu słowa ojca.
Apokalipsę.



JAN UMIERA

(a jego konanie się przedłuża)

Martwe samochody bezdusznie
toczą się gdziekolwiek
jak to w miasteczku
– przemieścić się, aby tylko

Na chodnikach uśmiechnięte
baby pchają wózki
dumne nie dumne
w każdym razie zaspokojone

Spełnione i bez twarzy
mało trzeba było
wysiłku
żeby całe życie oddać
bez idei krzyku
w klimacie i niezgody
Tak było i będzie zawsze

Janie!

Twój własny syn dotyka
szlachetnej twarzy starca
twojej szlachetnej twarzy
a Berenike, Joanna i Maria
w końcu
powiedziały chórem:
„Twój ojciec ma szlachetną
twarz”,

syn czuje pod palcami
fakturę papirusu
istotnie – skurczyłeś się
ty twoja twarz i twój świat,
czas się skurczył

...dziecięce czekanie,
zapach wnętrza aktówki
i nadzieja na zabawkę
...wtedy pewność...

ale twój syn Janie już dorósł
dziś śmierć jak zabawka,
jak ulga, jak szczęście

Janie, twoje ciało
wydało już wszystko
dało ewangelię
apokalipsę i listy
do nie wiadomo kogo
mękę urwanych myśli

Syn widzi twoje konanie
choć twoje liczne żony
nie pojma
urywanych zdań

Janie, twoje ciało chce
rozstać się z duszą

Syn to widzi
syn to wie
rozstać się w jakiejś
zgodzie z minionym światem
syn to wie

Martwe samochody bezdusznie
toczą się gdziekolwiek
jak to w miasteczku

na chodnikach uśmiechnięte
baby pchają wózki

O Janie tu nie słyszeli



PAN GABE

**

Jak wygląda pan Gabe?
Z nazwiska pochodzi z daleka
Szczupły, wysoki i wiotki.
Bardzo wiotki
Nie jest, tylko bywa,
nie chodzi, tylko przechodzi
nie siada, tylko przysiąda
jakby siedł w poszukiwaniu czasu
Otoczony barwą jesiennego parku
Lubi szaliki w naturalnych kolorach
w szlachetnych fakturach
Zawsze ma przy sobie ołówek
oraz małe linijkę
do mierzenia odległości
między gwiazdami

**

Pan Gabe nierzadko wychodzi
z domu
ale ostatnio wcale doń nie wraca
pochłonięta go namiętność do sztuk
wszelkich
obowiązki towarzyskie
i przyjemna praca

**

Pan Gabe
pił dziś herbatę z Herbertem
Szukał natchnienia u poety
Wypatrywał muzy, chciał napisać wiersz
Jakiś, może miłosny,
może sentymentalny
Wypił do dna i poszedł sobie
Nie wiem, gdzie teraz przebywa
może wdepnął na twoje poddasze
Jak go spotkasz, daj proszę znać
Pożyczył ode mnie pióro
i nie oddał

**

Pan Gabe spacerował po mieście
deptał chodniki bez powodu
nie odciskał śladów na granicę
sklejał tylko śródmiejski kurz
na schodzonych podeszwach

Z oczywistej potrzeby
oddał buty do fotografa
podeszwy były lekko prześwietlone
niezauważalnym przedtem blaskiem
czymś pomiędzy
szepem a zachwytem

**

Pan Gabe uwielbia spacerować
ze swoją kochanką u boku
nie musi wtedy myśleć
wszystko dzieje się w ciepłej rączce

Zamglone obrazy miasta
zamienione w rajski ogród
wabią dostojną parę
obrośniętą listkami świeżej mięty

**

Ubrana z pełnym wdziękiem
choć jeszcze nieznajoma
może druga połowa
podrywa oczy
A pan Gabe
stabilnie panuje
nad chaosem zdarzeń
oddalając zamęt w głowie

**

Pani Kobe
ujęła dłoń pana Gabe
i położyła na swej piersi
by nie myślał o niczym

**

Pani Kobe
ujęła dzban
do którego pan Gabe
wrzucał myśli z całego dnia
i wylała je do rzeki
Dzban znowu był pusty



**

Nadszedł dzień, w którym wszystko
trzeba było zacząć od zera
Pan Gabe podrapał się w szyję
rozglądnał wokół
ale w pobliżu nie było niczego
co przypominałoby to
od czego miał zacząć
Wszystko miało coś po przecinku

**

Pan Gabe zrezygnował z zaproszenia,
by wejść do lochów
Wybrał wspinaczkę na dość wysoką
wieżę i to nie sam
Będąc u szczytu zauważył, że wieża jest
niższa niż początkowo sądził
Postanowił osiągnąć szczyt
niezauważalnie
Tak, jakby nigdy go tam nie było

**

Pan Gabe spotkał dziś Vermeera
w jakiejś cichej uliczce Delft
wymienili się spojrzeniami
tęsknotą ponad horyzontem

**

Umęczony
Pan Gabe
porządkuje
pustkę wokół
siebie
Wyłowiona myśl, niczym płotka
nie wystarczy na wieczorną ucztę
Głodny i samotny, rozpuści się w sobie
jak oś w occie

**

Pan Gabe odbył długą podróż na
Pegazie
Zwiedził wszystkie galerie i muzea
To co zobaczył przeraziło go troską
o człowieka, niszczyiciela idei

Wracając zsiadł z konia
I wrócił do domu na piechotę

**

W drodze do lasu
pan Gabe
zaprosił panią Cobe
do filharmonii
Leśna ścieżka prowadziła
w niewielki zagajnik
Gdy usiedli obok siebie
na zwalonym pniu starej brzozy
świergot ptaków przestroił się
w symfonię Ody do radości

**

Pan Gabe wrócił z dalekiej podróży
Miał na sobie mnóstwo zielonych liści
Być może po drodze zamienił się
w drzewo
bo gniazdo, w którym uwiły sobie
jego ptaki
stało ciągle w tym samym miejscu

Tadeusz Szklarski

– urbanista, poeta, fotografik, malarz – szczecinianin, absolwent VI LO i Wydziału Architektury Politechniki Szczecińskiej (1976-1980). Pracował jako kierownik artystyczny Centrum Kultury Studentów PAM „Trans”, kier. pracowni plastycznej Państwowego Teatru Muzycznego, projektant PP PKZ, specjalista Biura Wystaw Artystycznych, plastyk miasta Szczecina. Architekt. Debiutował książką poetycko-plastyczną pt. „Pan Gabe. Poszukiwacz form i kształtów” (Wyd. Media Dizajn, Szczecin 2014). Udziałowiec rozmaitych inicjatyw społecznych i artystycznych w sferze sztuki. Twórca idei XIV Muzy, inicjator szczecińskiej noosfery aktywnej kultury. Odznaczony Srebrną Odznaką SARP.

O sobie powiada: *oryginalny egzemplarz osobnika o wysublimowanym poczuciu etyki, estetyki, gustu i humoru.*

W ostatnich dniach, pod firmą szczecińskiego O/ZLP, ukazała się druga, poszerzona wersja „Pana Gabe...” zawierająca 144 wiersze i 40 reprodukcji obrazów.

www.zlp-gorzow.cba.pl

W pierwszych latach powojennego Gorzowa ważniejsze niż literatura było tworzenie nowego życia poniemieckiego miasta Landsbergu i zagospodarowanie nowomarchijskiej ziemi po tej stronie Odry, nazywanej odtąd lubuską. Wśród ludzi przybywających do miasta, tych delegowanych do rządzenia, ale i tych zwykłych z kresowych wsi i małych miasteczek, którzy zamieszkali w Gorzowie, znaleźli się również autorzy prac literackich. Najważniejszym był bez wątpienia Włodzimierz Korsak, pisarz z ugruntowaną przed wojną pozycją, członek Związku Literatów Polskich od 1929 r., Główny Łowczy II Rzeczypospolitej, autor powieści podróżniczo-przyrodniczych i słynnego dzieła „Rok myśliwego”, który do tworzącej się społeczności wniósł kulturę szlachecką dalekich kresów i zamiłowanie do przyrody. Był duszą Koła Towarzysko-Literackiego zorganizowanego w grudniu 1946 r. przy Polskim Związku Zachodnim. W domu prezesa Związku – Edmunda Gruzińskiego przy ul. Bohaterów Warszawy 5, odbywały się tzw. środy literackie, podczas których prezentowano własne i obce utwory. Dawały one ich bywalcom powiew innego ducha, wyzwalały od codzienności. Obok utworów Korsaka czytano podczas środowych spotkań okolicznościowe wiersze nauczycielki i działaczki społecznej Janiny Jaczewskiej oraz fragmenty powieści Natalii Bukowieckiej-Kruszonowej „Rubież”, drukowanej na łamach „Głosu Wielkopolskiego”. W 1961 r. Włodzimierz Korsak został członkiem-założycielem Oddziału ZLP w Zielonej Górze.

Rok 1950 przyniósł gorzowskiej kulturze wiele niekorzystnych zmian. Utworzenie nowego województwa z siedzibą władz w Zielonej Górze spowodowało zmianę miejsca zamieszkania wielu ambitnych osób. Janina Jaczewska wyjechała do Zielonej Góry, państwo Kruszonowie przenieśli się do Warszawy. Pozostał Włodzimierz Korsak, który jednak coraz bardziej zaszywał się w gorzowskie lasy, tam szukając spokoju od obcej mu i wrogiej socrealistycznej polityki kulturalnej, piętnującej jego szlacheckie pochodzenie i gusty.

Pozytywne zmiany w polityce przyniósł rok 1956. Do Gorzowa impulsy przysły z Zielonej Góry. Tam w 1957 r. utworzono Lubuskie Towarzystwo Kultury, z którego inspiracji nastąpiło wielkie ożywienie na wielu płaszczyznach życia kulturalnego. Dla literatury ważne były pierwsze książki poetów mieszkających na Ziemi Lubuskiej, w tym także w Gorzowie.

Odkryciem połowy lat 50. była Papusza, cygańska poetka, która choć nie uczestniczyła w życiu literackim regionu, była hołdowana i ceniona jako samorodny talent poetycki. W 1956 r. „Pieśni Papuszy” w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego wydało wrocławskie Ossolineum, co było formą szczególnej nobilitacji. Papusza była pierwszą gorzowską poetką przyjętą w 1962 r. do Związku Literatów Polskich. Otrzymywała nagrody państwowe i regionalne, ale swoje monologi poetyckie wygłaszała w parku, wróżyła, żyła życiem Cyganki.

W tym samym roku co Papusza, przyjęta została do ZLP Irena Dowgielewiczowa, poetka i powieściopisarka. Rozpo-

częła swoją twórczość na przełomie lat 50. i 60. Tworzyła w zaciszu domowym. Od debiutu prozatorskiego Ireny Dowgielewicz w 1962 r. zaczęła się historia tej dziedziny pisarstwa na Środkowym Nadodrzu – napisał Henryk Bereza („Nadodrze” 1967 nr 2). A Henryk Ankiewicz obrazowo określił: *Pierwsza spośród pisarzy tworzących na Ziemi Lubuskiej weszła głównymi drzwiami do salonów powojennej literatury polskiej* („Szkice gorzowskie” s. 78).

W 1957 r. debiutował, a w 1959 r. wydał pierwszy tom poezji Zdzisław Morawski, najbardziej znany gorzowski poeta, człowiek, który swoim temperamentem trybuna i zdolnościami oratorskimi odciskał bardzo silne piętno na całym życiu kulturalnym miasta i regionu. Nie bez przyczyny przyłgnęło do niego określenie „Gorzowski Książę”, a później „Książę Poetów”. Zdzisław Morawski stworzył nową teorię poetycką, odcinał się od wiązania poezji ze światem przeżyć duchowych. Do Związku Literatów Polskich został przyjęty w 1961 r. Należał, obok Korsaka, do tzw. statutowej szóstki założycielskiej lubuskiego Oddziału ZLP, którego inauguracyjne zebranie 4 listopada 1961 r. było wielkim wydarzeniem w Zielonej Górze.

Zasługą Zdzisława Morawskiego była piecza nad młodymi poetami. To on od razu poznał się na talentach Stanisławy Plewińskiej (od 1985 do 2006 r. miała status członka-kandydata ZLP, w poczet członków rzeczywistych przyjęta w 2007 r.) i Kazimierza Furmana (członek rzeczywisty od 2004 r.).

Od schyłku lat 50. współtworzył krajobraz literacki Gorzowa, twórczo przetwarzając swoje doświadczenia wojenne i powojenne, Florian Nowicki. Wiadomość, że został człon-



ODDZIAŁ
W GORZOWIE WLKP.

kiem ZLP, nadeszła z Warszawy w dniu jego śmierci 25 czerwca 1986 r. Równie ważne były jego dokonania organizatorskie, gdy najpierw jako redaktor pierwszego pisma gorzowskiego – „Stilonu”, a później prezes Gorzowskiego Towarzystwa Kultury wspierał młodych zdolnych, wprowadzając ich utwory na łamy pisma lub do książek wydawanych przez GTK.

Na przełomie lat 60. i 70. ujawniła się grupa młodych piszących, najczęściej urodzonych jeszcze przed wojną, ale ukształtowanych już w powojennej, socjalistycznej rzeczywistości. Złączył ich Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy działający w całej Polsce przy Związku Młodzieży Wiejskiej,

a ton im nadawał utalentowany pisarz Zygmunt Trziszka. Zaznaczyli oni swoją przynależność do Klubu, wydając pierwsze gorzowskie pismo literackie – „Nadwarcie” jako dodatek do „Stilonu Gorzowskiego”. Ta erupcja literacka trwała krótko, bo Trziszkę, jako młodego zdolnego, porwano szybko najpierw do Zielonej Góry, a potem do Warszawy, jednak echa fermentu pozostały. W klubie MPiK zrodził się legendarny „Stolik nr 1”, który miał duże znaczenie dla kultury Gorzowa w ogóle. Na porannej kawie w klubie MPiK zbierali się wszyscy, którzy w latach 70. mieli ambicję tworzenia w mieście wyższej kultury. Z inicjatywy „stolikowców” powstało pismo „Ziemia Gorzowska”, które ukazywało się wtedy jako jednodniówka. Jednym z czołowych bywalców „Stolika nr 1” był Zdzisław Morawski.

Lata 60. i 70. to bardzo trudny okres dla wszystkich regionalnych inicjatyw wydawniczych. W czasach reglamentacji

papieru trzeba było uzyskiwać zgodę władz centralnych na prawo do opublikowania, a o treściowej zawartości książki lub pisma decydował miejscowy cenzor. W tych warunkach od 1971 do 1978 r., gdy pismo przekształciło się w miesięcznik Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, wydano 21 numerów. Na łamach tej „Ziemi” (jako że tytuł przechodził różne przeobrażenia) utwory literackie publikowali: Zdzisław Morawski, Mieczysław Miszkin, Kazimierz Wachnowicz, Tadeusz Szyfer, Romuald Liszka, Teresa Wilczyk, Maria Przybylak, Beata Ananiewicz-Szmidt, Wincenty Zdzitowiecki, Wojciech Sroczyński, Kazimierz Furman. Publikował także Janusz Olczak, przez powojenną młodość związany ze Skwierzyną, ale swoim temperamentem literackim obecny także w gorzowskiej kulturze.

Trwałym dorobkiem GTK są książki wydane w Bibliotece Literackiej GTK i w Bibliotece Regionalnej GTK. W pierwszej ukazywały się głównie tomiki poezji, w tym wielu debiutantów, w drugiej – prace dotyczące historii regionu. Na podkreślenie zasługuje pierwsza w regionie gorzowskim antologia poetycka pt. „Nauka tańca”. Spośród wydanych 30 książek literackich za najważniejszy debiut uznano książkę Elżbiety Skorupskiej „Nim dojdę”. GTK organizowało także sesje literackie, inspirowało różne formy upamiętnienia pisarzy.

Fakt utworzenia województwa gorzowskiego w czerwcu 1975 r. znacząco wpłynął na rozwój kultury, w tym także literatury. Do Gorzowa przeniósł się na stałe laureat nagrody MKiS za całokształt twórczości, członek ZLP od 1971 r., Witold Niedźwiecki, prozaik o ugruntowanej pozycji, który w 1978 r. podjął tu pracę jako redaktor naczelny pisma „Rolnicza Warta”. Z redakcją tygodnika „Ziemia Gorzowska” od 1980 r. związał się na wiele lat inny prozaik – Bronisław Słomka, członek ZLP od 1969 r. przynależący do Oddziału w Szczecinie. W gronie później przyjętych do ZLP (1998) mieszkali i tworzyli w Gorzowie dwaj utalentowani satyrycy, aforyści i fraszkopisarze: Jan Gross i Tadeusz Szyfer.

Dla gorzowskiego życia literackiego ważne było powołanie w 1981 r. Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, w którym jako pierwsza zaczęła działać sekcja literacka. Na jej czele stanęła Maria Przybylak, do ZLP przyjęta po czteroletnim kandydackim stażu dopiero w 2004 r. Obok niej najsilniejszą osobowością był poeta-robotnik, Kazimierz Jankowski, członek ZLP od 1993 r. – zdobywca I nagrody w ogólnopolskim konkursie na pamiętniki robotników. Jego kontrowersyjna powieść „Oaza niepokornych” do dziś czeka na zwolnienie do druku przez wdowę po nim, właścicielkę praw autorskich. Barbara Trawińska, też wywodząca się z tego środowiska, odeszła od niego po przyjęciu do ZLP w r. 1994. Z RSTK wywodzi się wielu utalentowanych poetów, m.in. Krystyna Caban, Łucja Fice i Roman Habdas (już od kilku lat członkowie rzeczywisci ZLP) oraz Maria Borcz i Ferdynand Głodzik. W stowarzyszeniu przywiązuje się dużą wagę do doskonalenia warsztatu. Na corocznych warsztatach sekcji literackiej w Garbiczu konsultantami bywali tak znani pisarze, jak: Andrzej K. Waśkiewicz, Józef Lenart, Janusz Koniusz, Nikos Chadzinikolau, Roman Śliwonik, Marek Wawrzkiwicz, Leszek Żuliński. Przez 28 lat działalności z sekcją literacką RSTK związanych było ponad 80 osób.

Kolejne zmiany, istotne także dla literatury, przyniósł rok 1989. Papier przestał być limitowany, skończyły się ograniczenia związane z koniecznością uzyskania zgody cenzury na wydawanie pism i książek. Poligrafia stała się jedną z najszybciej rozwijających się dziedzin gospodarki. Łatwość publikacji rodzi jednak szereg utrudnień. Po pierwsze koszt wydania książki nie jest mały, a chętnych na wspieranie literackich dokonań niewielu. System dystrybucji książek rodzi trudności z dotarciem do czytelnika. Systematycznie zmniejsza się krąg odbiorców. Tracą rangę związki i stowarzyszenia twórcze.

W 1994 r. Krystyna Kamińska – krytyk oraz Ireneusz Krzysztof Szmidt – pisarz i poeta, członek ZLP od 1965 r., który w początku lat 90. przeniósł się ze Szczecina do Gorzowa, założyli Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”. Wydawany przez nich miesięcznik „Arsenał Gorzowski” przejął od „Ziemi Gorzowskiej” funkcję stymulowania życia kulturalnego miasta i regionu, publikując systematycznie wiersze poetów uznanych już i debiutantów, małą prozę oraz publicystykę opiniotwórczą. W ramach Biblioteki Literackiej Arsenału ukazało się 21 książek, w tym 10 tomików wierszy (4 debiuty), 7 książek prozatorskich (4 debiuty) i 4 antologie. Dzięki temu środowisko pisarskie po wydaniu drugich i trzecich książek wzrosło o kolejnych rzeczywistych członków ZLP, m.in. Marka Grewlinga (2003) i Ludwika Lipnickiego (2003). Po wydaniu kolejnych książek do ZLP przyjęci zostali Kazimierz Furman (2004) i Jerzy Gąsiorek (2004), liczba pisarzy z cenzusem przekroczyła o 5 osób magiczne minimum statutowe: 6 członków potrzebnych do powołania samodzielnego Oddziału ZLP.

Od 2003 r. w ramach struktury organizacyjnej Oddziału zielonogórskiego działał gorzowski Klub Literacki, pod którego patronatem, z pomocą finansową i merytoryczną WiMBP i WAG „Arsenał”, zaczyna wychodzić w trybie nieregularnym gorzowskie czasopismo literackie „Pegaz Lubuski”. Pismo miało i ma od początku charakter warsztatowy. Było w zamierzeniu przeznaczone dla obsługi środowiska literackiego z północnej części lubuskiego i z pożytkiem dla jego rozwoju utrzymało ten charakter do dzisiaj, choć wyjątkowo udziela swoich łamów pisarzom „zza między”, a nawet z dalszych stron kraju. Od początku było skromne pod względem edytorsko-graficznym,

ale bogate w treść i żywe. Mogło być czytane w wersji „papierowej” (300 egz. nakładu) i online na portalu www.wimbp.gorzow.pl, a w miarę upływu czasu na www.zlp-gorzow.cba.pl, www.literaci.eu, gdzie w formacie PDF są dostępne bezpłatnie wszystkie numery. Każdy czytelnik mógł i może sobie „Pegaza” wydrukować w domu. Dzięki łatwej ścieżce druku zaczęli czyścić szuflady „starzy” i przysyłać wiersze młodzi poeci egzystujący dotąd w portalach internetowych. W prawie każdym numerze jest kolumna debiutów, miejsce na nowe wiersze poetów po debiucie, opowiadania, szkice i felietony oraz kilka kolumn recenzji z nowych książek autorów gorzowskich. Środowisko literackie Gorzowa zaczęło krzepnąć. W Grodzkim Domu Kultury co miesiąc swoje publiczne warsztaty twórcze odbywał Klub Poetów Okrąglego Stołu. W latach 2003–2004 ukazały się kolejne książki w serii Biblioteki Literackiej Arsenału.



ODDZIAŁ
W GORZOWIE WLKP.

Czas więc było założyć autonomiczny Oddział. Był rok 2004. Grupę założycielską stanowili członkowie zwyczajni: Barbara Trawińska, Maria Przybylak, Jan Gross, Witold Niedźwiecki, Bronisław Słomka, Ireneusz Krzysztof Szmidt i Tadeusz Szyfer oraz przyjęci do ZLP tamtego roku Marek Grewling, Ludwik Lipnicki i Kazimierz Furman. Na wniosek inicjatora – I. K. Szmidta i grupy założycielskiej, z poparciem Zarządu Lubuskiego Oddziału w Zielonej Górze, do którego większość z tej grupy przynależała (inicjator secesji był jego wiceprezesem), Zarząd Główny ZLP powołał gorzowski Oddział jako 22. w Polsce. Inauguracja działalności miała miejsce w sali kominkowej WiMBP 18 grudnia 2004 r. z udziałem przedstawicieli władz samorządowych, wojewódzkich i miejskich oraz prezesa ZG ZLP Marka Wawrzyniaka. Wcześniej, 6 grudnia, odbyły się pierwsze wybory Zarządu Oddziału, w skład którego wówczas weszli: I. K. Szmidt jako prezes, Tadeusz Szyfer – wiceprezes i Kazimierz Furman – członek bez funkcji. Dyr. WiMBP Edward J. Jaworski zadeklarował pełną i bezinteresowną pomoc organizacyjną przy funkcjonowaniu Oddziału. Postanowiono, że biuro i siedziba Oddziału będą umiejscowione w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie przy ul. Wł. Sikorskiego 107. Także władze administracyjne oraz samorządy miasta i województwa zadeklarowały pomoc dla wreszcie zorganizowanego środowiska literackiego, obiecały wsparcie finansowe dla twórczych i upowszechnieniowych inicjatyw ZLP.

Pod firmą czasopisma, w oparciu o WAG „Arsenał”, zaczęła się ukazywać w 2005 r. seria wydawnicza sygnowana jako Biblioteka Pegaza Lubuskiego, dotowana w znacznej części przez Urząd Miasta w Gorzowie Wlkp., czasem przez urzędy gminne, jeśli autorzy mieszkali na ich terenie, lub niekiedy przez osoby prywatne czy firmy przyjazne autorom. Autorzy często wspomagali ten pozyskiwany w konkursie ofert dla organizacji pozarządowych fundusz wydawniczy tak zwanym „wkładem własnym”, przeznaczając na swoje książki otrzymywane stypendia twórcze, nagrody w konkursach lub honoraria za czytanie ich książek w Radiu Zachód. Do dziś ukazało się w tej serii 65 książek, w tym kilkanaście wartościowych debiutów, z których książki Małgorzaty Prusińskiej (2005), Agnieszki Moroz (2006), Alicji Łukasik (2011) otrzymały od Kapituły Lubuskiego Wawrzynu Literackiego wyróżnienia za najlepsze debiuty na Ziemi Lubuskiej. Główne Wawrzyny otrzymały w tym czasie książki pisarzy i poetów gorzowskich: Witolda Niedźwieckiego (2004), Ireneusza K. Szmidta (2005), Henryka Wawrzyniaka Kordonia, Ludwika Lipnickiego (2007), Karola Graczyka (2008), Marka Lobo Wojciechowskiego (2009), Beaty Patrycji Klary (2011).

Nominowanych w tych konkursach książek z Gorzowa też było kilka, wśród nich wiersze Marka Piechockiego, Teresy Borkowskiej, Ireny Zielińskiej, Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk i proza Beaty Igielskiej.

Mija 10 lat pracy odmierzanej kolejnymi premierami książek i spotkaniami poetów i pisarzy z ich czytelnikami w „Salonie Literackim” księżnicy Herberta, w gorzowskich filiach WiMBP-u, w „Lamusie”, w Salonie „Na Zapiecku”

i w innych miejscach. Na głównej ścianie „Salonu Literackiego” (parter, sala nr 8) WiMBP im. Zb. Herberta wiszą kolorowe karykatury niemal całego środowiska pisarskiego Gorzowa rysowane piórkami i pędzelmami artysty-przyjaciela pisarzy Zbigniewa Olchowika. W centralnym holu stoją popiersia Papuszy, Ireny Dowgielewicz, Zdzisława Morawskiego, Kazika Furmana z białym szalem wokół szyi oraz modele pomników Furmana i Papuszy, której odlew z brązu stoi przy szklanej elewacji księżnicy Herberta w Parku Róż, blisko miejsca po ławeczce, na której cygańska poetka wróżyła gorzowianom, wśród nich Zdzisławowi Morawskiemu.

Systematycznie odbywają się spotkania z czytelnikami i autorami kolejnych numerów „Pegaza Lubuskiego”. Traktujemy je jako otwarte zebrania naszego związku twórczego, gdyż wśród gości tych imprez upatrujemy wiernych nam czytelników i potencjalnych związkowych koleżanek i kolegów.

Rozróśł się nasz Oddział, mimo bolesnych strat – wielu Pegaz zaniósł na niebieski Parnas. Jest nas dziś 27, w tym dwoje za granicą: Joanna Ziemińska w Sztokholmie, Jurek Grodek we Writzen. Karol Graczyk wyjechał do Torunia, Marek Grewling dojeżdża z Babimostu, Iwona Żytkowiak z Barlinka, a Włodek Łazuka z Choszczyna.

Dzięki kolejnym książkom przedkładanym Komisji Kwalifikacyjnej Zarządu Głównego ZLP, do grona członków Oddziału dołączyli wcześniejsi kandydaci: Teresa Borkowska, Krystyna Caban, Karol Parno-Gierliński, Stanisława Plewińska, Aldona Robak, Elżbieta Skorupska-Raczyńska, Joanna Ziemińska-Kurek, Irena Zielińska, Roman Habdas, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Na

wniosek Zarządu Oddziału potwierdzający dorobek literacki przyjęci zostali bez stażu kandydackiego: Edward Diłanian, Jerzy Grodek, Jerzy Gąsior (Gąsior), Beata Igielska, Henryk W. Kordoń i Karol Graczyk. Z Oddziału szczecińskiego przeniósł się do gorzowskiego Władysław Łazuka. Po zniesieniu stażu kandydackiego o wstąpienie do ZLP mogą już się starać autorzy trzech dobrych tomików poetyckich i dwóch powieści. Tak status członków uzyskali: Zygmunt Marek Piechocki, Anna Strzelec, Łucja Fice, Iwona M. Żytkowiak i Krzysztof Ansilewski (ps. Jerzy Alski).

Niebawem mogą dołączyć do nich następni poeci: Agnieszka Moroz, Maria Borcz, Ferdynand Głodzik oraz Renata Paliga, laureatka kilku konkursów dla piszących lekarzy. Wszyscy oni spełniają już kryteria wymagane przez Komisję Kwalifikacyjną przy Zarządzie Głównym ZLP.

W Roku Jubileuszowym, 2014, w programie wydawniczym Oddziału – Bibliotece Pegaza Lubuskiego ukazało się 15 tomików poetyckich objętych wspólną obwolutą-portfelem Klubu Poetów Okrągłego Stołu. Wśród autorów jest pięcioro debiutantów, nadzieja na przyszłość literatury Gorzowa i okolic. Do końca roku ukazą się jeszcze dwie ważne książki. Oczekiwany debiut poetycki Marka Stachowiaka i suma dorobku satyrycznego Tadeusza Szyfera.

Obecnie Zarząd gorzowskiego Oddziału ZLP stanowią: Ireneusz K. Szmidt – prezes, Marek Grewling – wiceprezes, Krystyna Caban – skarbnik oraz członkowie Zarządu: Jerzy Gąsior i Roman Habdas.

Z okazji jubileuszu 10-lecia Oddziału została wybita srebrna odznaka członkowska.



ODDZIAŁ
W GORZOWIE WLKP.

Barbara Dominiak

GDY ODDAWAŁAM CI
UKRADZIONE ZAPISKI

Gdy oddałam ci zeszynek w twardej okładce
przyniosłam wąski kawałek szkła
żebyś skaleczył słabe nadgarstki
Na białym obrusie napisał krwią
akt oskarżenia
za kradzież czasu
zapisanego szlachetnym piórem

W ten wieczór wśród modrzewi
gdy wszystko jeszcze mogło nam się stać
i cisza zawisła
a wiatr był daleko
jedliśmy śledzie
spoglądając na bezlitosne
wskazówki

To nic, że
nazwałeś mnie złodziejką
przebraną w siostrę miłosierdzia
dałeś mi wtedy życie
po raz setny

Wyrzuciłeś szkło
a wyrok
zawiesiłeś na beczkas.

WŁOSKI SEN

Gdyby tak nazwać tę chwilę
brzmiałaby: włoski sen

W podziemiach dawnego miasta
chłodzi nas spokój murów
w półmroku widzę
ostre krawędzie
twoich źrenic
jakbyś chciał zabić ładną kelnerkę
bo nigdy nie będzie twoja
(mówisz: zapomniała o cytrynie)

dziewczyna
smukłą dłonią
kładzie przed nami talerze.
Na nich muszle
korale i perły.

W twoich ustach
migotliwe precjoza

w moich
tylko
gorycz cykorii.



Roman Habdas

REJS KU ŚWIĘTYCH OBCOWANIU

Dopóki tętni aorta i nabrzmiałe dorzecza żył, a kielich
gorzałki ciągle na raz, to znaczy, że ciągle płyniesz.
Pomiędzy niebem a ziemią zostawiaj
kilwater dobra.

Z kursu, bez względu na jutro sztormów i flaut, nie myśl
zawracać. W pamięci ludzkiej zostanie coś więcej, jak
dolewanie ognia po burty cierpliwości. Jak tylko
dmuchanie na zimne.

A rejsu zdaje się niewiadoma. Więc sił trzeba dla ramion
osadzonych w dulkach stawów
i wiary w obrany szlak,
ku świętych obcowaniu.

Pan Bóg czeka na ciebie takiego, jakim jesteś.

STARE KŁADKI

Wrosły w zagony trzcinowisk wielonogami
pniaków.

Spojone żerdziami z olszyn, garścią gwoździ,
związane wylinką zaskrońców.

O własnych imionach, matki natury spojrzeniu,
aż po omszenie, zmurszenie, gnicie.

Chłoną gorycz przekleństw moczkiaków
wylewanych pełni księżycy i żyłce
zawsze zbyt cienkiej
dla ryby życia.

ROZPRAWA O STAREJ ŁODZI
I SZKUTNIKACH

Latami wprost z nieba piła deszczówkę.
Na burtnicach samowolnie mustrowała porosty,
falbany glonów
poniżej falującego lustra.

Zbudowana z desek sosnowych (koniecznie bez sęków),
wręg akacjowych, lnianego targanu mazanego smołą.
Zaprawiona sztuką dychtowania przesiąkła
na starość przez wypłukany ze styków
szparunek.

Oskarżona o próchnicę, przykuta łańcuchem do drzewa
wyczekuje sądnego dnia.

Z pawężą przy rufie, niczym obrońcą w mowie końcowej,
skrzypi o ułaskawienie. A jeśli osadzenie, to tylko
recydywistów – pary wiosel w dulkach.
I niechby ostatni raz, dziobem
na falę.

Odplywają w niepamięć stare łajby. Odplywają do ziemi
ostatni skutnicy.

Teresa Borkowska

* * *

dzień w dzień patrząc przez okno
na Wartę
a ona jak gdyby nigdy nic
płyń
wciąż płynie

chciałabym aby choć chwilką
przystanęła

to wtedy opowiedziałabym jej
o swoim życiu
a ona być może zaszemrałaby
o swojej historii

tak wiele w nas podobieństw
choć z innych źródeł początek
że nieprawdopodobnym jest
abyśmy kiedykolwiek spotkały się
u tego samego ujścia

Irena Zielińska

DROGI MOJE

Irkowi Szmidtowi

Drogi moje zdeptane
zmęczone
nawet te zwykłe ścieżki
którymi biegnę o świcie
by nakarmić
dźwięk słońca
światła krzyk pierwotny

narasta kołysanie
trawy w buciakach

gdy tak biegnę w stronę południa
wtedy chmury
psy nieba
wyszarpują ze mnie
wieczne nici horyzontu

Aldona Robak

**TOREBKA
OD LEONARDA**

Czas zamknięty w torebce
wylonionej ze szkiców
zabieram w obrazy
kunsztowną
jak misternie rzeźbiony szept

schowam do niej jeden liść
jeden płatek kwitnącej poziomki
kopertę
na jeden wiersz

Beata Igielska

OBRONA NARCYZA

trzymajmy się
faktów

każdy detal
mojej twarzy
zapisany w pamięci
krystalicznie czystego źródła
potwierdza że byłam piękną

nie zgubiła mnie próżność
na śmierć
skazały mnie nimfy
faworyty Demeter
egocentryczki i donosicielki

odchodząc
sam trzymałem się za rękę

myślałem
może zapiszę się w historii
wszak wcześniej
nikt nie umarł
z miłości do siebie

na moim grobie
wyrósł kwiat
wziął moje imię
choć nawet w części
nie był jak ja piękny

podręczniki
milczą o nimfach
nauczyciele kładą dzieciom
do głów
banały i frazesy
o egoizmie
i próżności
wyższości ducha nad pięknem
zewnątrznym

a ja domagam się tylko
sprawiedliwości

to przecież niewiele
jak na mitologicznego
potępienia

**Agnieszka
Kopaczyńska-Moskaluk**

* * *

Droga ciśnie się pod stopy
Nic przede mną
Za mną
Co mi powiesz o locie
kiedy skrzydła zabrały anioły
jeszcze pióro drży we włosach
jak tęsknota
odwracam się od przepaści
odchodzę bo mnie woła

Krystyna Caban

ONI I ONE

oni powinni wiedzieć, że kobiety
zdobywa się pomału
ta zabawa to nie walka z bykiem
choć nie każdy mężczyzna jest jak żarówka
trzask-prask i jest rozgrzany do czerwoności
kolejny trzask-prask i jest soplem lodu

powinni wiedzieć, że kobieta
jak ruszt rozgrzewa się powoli
potem jest wielkim piecem-wulkanem
uważać trzeba, by nie wybuchł

przecież wiadomo, że oni i one
są jak poezja kłamstwa
ładnie podane czyni ją prawdziwą
prawdziwszą od bułki z pomidorem
mówię wam – jestem człowiekiem
który niejednego kurestwa doświadczył

Elżbieta Skorupska-Raczyńska

CODZIENNOŚĆ

W imię ojca i matki
de domo

Z pierwszego krzyku
w cichym kościółku
Z odłamków życia
usypanych za progiem
Z czterech ścian domu
gdzie wszystkie
kąty pełne
Z siedmiu grzechów
z których żaden główny
Z kropli mleka

przelanej przez usta
dżdżu przy powiece
Z przeszłego jutra
i przyszłego wczoraj
płacze się dzień
codzienny
święteczny
mój
jak co dzień

Joanna Ziemińska-Kurek

**I ZNOWU MINAŁ
JAKIŚ CZAS**

Przyglądałam się światu
próbowałam zobaczyć i zatrzymać
co trwa krótko
zbyt krótko
aby poczuć dogłębnie
nasyć bogactwem
kolorów kształtów i asocjacji

Spośród tysięcy cyfrowych jotpegów
nieostrzych i chybionych ujęć
setek zatrzymanych w bezruchu chwil
dziesiątek zapisanych twarzy
może jedno dwa zdjęcia
będą tym co utrwała
co pozostanie

SPISANIE MORAWSKIEGO

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta wydaje cykl książek pod wspólnym tytułem „Lubuska Bibliografia Regionalna”. Właśnie ukazał się jej drugi tom poświęcony Zdzisławowi Morawskiemu. Pierwszy obejmował dorobek Kazimierza Furmana.

Przygotowanie każdej bibliografii jest niezwykle pracochłonne i wymaga nadzwyczajnej skrupulatności. Wyrażam więc ogromne moje podziękowanie za tę trudną pracę paniom Annie Sokółce i Danucie Zielińskiej, które nie tylko przeprowadziły kwerendę, ale także dotarły do każdej publikacji, aby na własne oczy ją zobaczyć i prawidłowo opisać.

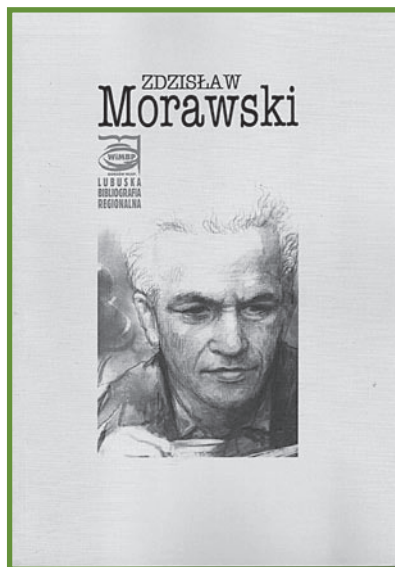
A było co robić, bo Zdzisław Morawski pisał dużo i chętnie go drukowano nie tylko w lokalnych wydawnictwach. Wystarczy powiedzieć, że autorki przekopały roczniki 47 tytułów prasowych.

Po wstępie od redakcji z uzasadnieniem zamysłu książki mamy notę biograficzną autora z podstawowymi o nim informacjami. Wolałabym trochę więcej o Zdzisławie Morawskim, ale widać charakter całej książki wyklucza bardziej szczegółowe opisywanie życia i dorobku pisarza.

Część pierwsza obejmuje twórczość literacką z podziałem na tomiki poetyckie (17), powieści (3), dramaty (14), słuchowiska radiowe (8), publikacje w antologiach (26). Przy każdym tomiku wykaz zamieszczonych wierszy i spis recenzji, a przed laty recenzji takich pisano sporo. Przy dramatach i słuchowiskach – miejsce wystawienia lub emisji, recenzje, informacja, gdzie znajdują się rękopisy, bo ani dramaty, ani słuchowiska nie były publikowane.

Spisanie tych utworów to rzecz stosunkowo łatwa; schody dopiero się zaczynają.

Wiersze Zdzisława Morawskiego publikowane były 290 razy na łamach różnych pism, jego utwory prozatorskie i dramatyczne – 44 razy. Wszystkie te miejsca zostały skrupulatnie zebrane. Następnym 661 pozycji to licznie rozsiane na łamach pism lokalnych przede wszystkim felietony Zdzisława Morawskiego, które pisał w cyklach: „Listy znad Warty” („Nadodrze”), „Nasze trzy grosze” (Nadodrze”), „Szklany ekranik” („Gazeta Gorzowska”), „Rozważania o codzienności”



(„Nadodrze”), „W imię ładu i dla niego” („Ziemia Gorzowska”) lub inne utwory literackie kolegów poświęcone Morawskiemu.

Ostatni rozdział jest dokumentacją Ogólnopolskich Konkursów Literackich im. Zdzisława Morawskiego z podaniem nazwisk nagrodzonych autorów w 18 edycjach oraz miejsc publikacji protokołów i najlepszych utworów.

Licząca 168 stron książka to efekt ogromnej, dla mnie katorżniczej pracy. W tym miejscu musi się zrodzić pytanie: po co ten wysiłek? Służył on będzie tylko wtedy, gdy zostanie wykorzystany do opracowania dorobku pisarza. Bo choć powszechnie wiemy, że Morawski wielkim poetą był, to

ciągle jego spuścizna nie jest wystarczająco znana. W ubiegłym roku ukazał się opasły, bo liczący 280 stron tom zebranych wierszy poety. Ale ani jego dramaty, ani słuchowiska nigdy nie były publikowane, co już powyżej wzmiankowałam. W licznych artykułach prasowych Morawski wyrażał swoje poglądy nie tylko na literaturę, ale na otaczający go świat. Ciekawe byłoby przywołanie jego sądów, bo na pewno mogą one wejść do intelektualnej historii naszego miasta i regionu. Tylko kto się za to zabierze? Nie mamy historyków literatury, bo gorzowska filologia polska z PWSZ jest skromniutka. Nie ma w mieście klimatu do przypominania dorobku ludzi, bo przekreśliłmy blisko 50 lat razem z tamtym ustrojem.

A mimo to wierzę, że ta pracowicie przygotowana bibliografia zainspiruje np. studentów do opracowania wybranych problemów twórczości, może jakiś doktorant zabierze się za Morawskiego, gdy materiał ma podany na tacy, może Miasto zamówi u uznanego historyka literatury książkę o Morawskim, podobnie jak zamawia (albo zamawiało) książki historyczne. Może się doczekam...



**Drogi kobiet
splatają się
ze sobą jak palce rąk
drogi kobiet
rozbiegają się i krzyżują,
plotą w warkocze
znoszą życie
do pobłądzenia w sobie
i rozwijają się jak z kłębka
w pogoni za natchnieniem
na grudniowy dzień 2014 roku
Janusz
Dreczka**

**Naszym Autorom i Czytelnikom z okazji
Bożego Narodzenia i Nowego 2015 Roku
WESOŁYCH ŚWIĄT
życzy redakcja „Pegaza Lubuskiego”**

Zdzisław Morawski (6.09.1926 – 28.10.1992). Zestaw bibliograficzny, seria: Lubuska Bibliografia Regionalna, oprac. Anna Sokółka i Danuta Zielińska, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. sierpień 2014, 168 s.

ÓSMY NOTATNIK GĄSIORA

Najnowszy tom wierszy Gąsiora pod tytułem „Blżej” jest ósmym w jego kolekcji. Poprzednie tomy ukazywały się niemal co roku, a ten po trzyletniej przerwie. Wszystkie podpisane są „Gąsior”, choć na końcu mamy zdjęcie i krótki biogram autora z jego pełnym nazwiskiem – Jerzy Gąsiorek.

Znany w Gorzowie – i nie tylko – plastyk jest także członkiem Związku Literatów Polskich. Jego tomiki od początku mają jednakową szatę graficzną: wydłużony format, szarą okładkę tyłko z tytułem i pseudonimem autora, bez żadnych ozdób, przeważnie około 100 stron, a na każdej stronie jeden wiersz (czasami, gdy dłuższy na dwóch). Nie ma żadnych rozdziałów, autor nie układa swoich wierszy według wymyślonego planu, lecz po prostu prezentuje jeden za drugim. Tematy ich są różne, zależą od codziennych zajęć, pory roku, miejsca pobytu autora, zdarzeń zewnętrznych, nawet polityki. Są jak notatki zapisywane z dnia na dzień.

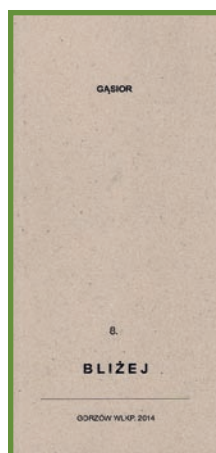
W ostatnim tomie „Blżej” najwięcej jest wierszy zrodzonych w Santoku, gdzie Jerzy Gąsiorek ma zabytkową wieżę, a w niej pracownię i kolekcję swoich niezwykłych prac plastycznych tworzonych z odpadów drewna i innych resztek, które akurat pod ręką. Ale nie te prace (rzeźby) są tematem utworów, a przede wszystkim oglądana z wysoka santocka przyroda.

*W blejtramie okna
świt maluje pejzaż
tonuje obłoki
na podkładzie nieba
wciąż coś poprawia zmienia
domalowuje cienie
teraz szare kreski – gęsi
co rozkrzyczane
na łowiska lecą
znów wylania się błękit
i biel obłoków wyolbrzymia
natura – genialny pejzażysta*

Jerzy Gąsiorek jest także znanym cyklistą, od kilku lat przemierza świat na rowerze. Na pewno doznał wtedy wielu wrażeń. Po duchowe przeżycia pojechał na szlak św. Jakuba aż do Santiago de Compostela, ale w tomiku znalazły się tylko cztery wiersze tą wyprawą inspirowane. Są trzy z Drohobycza związane z osobą Brunona Schulza, jeden z Rumunii. W sumie tylko osiem śladów zagranicznych peregrinacji. Wszystkie inne wiersze powstały z polskich przemyśleń i polskich pejzaży.

A przemyslenia wynikają przede wszystkim z wieku autora, który skończył 73 lata, uważa siebie za starego, któremu niewiele się należy. Coraz częściej spogląda do tego lepszego ze światów, coraz częściej zwraca się do Boga z podziękowaniem za ciekawe życie, z pytaniem, co dalej, a także z tym najważniejszym, które dominowało w poprzednich tomach: dlaczego wokół jest tyle zła i nieszczęść, dlaczego ludzie sobie sami wyrządzają tyle krzywd i dlaczego pojedynczy człowiek nie ma żadnego na to wpływu.

Swój obecny stan ducha Jerzy Gąsiorek dobitnie przedstawił w wierszu bez tytułu:



*„Lepiej zużywać się niż rdzewieć”
to moja dewiza życiowa
od lat wielu
stąd moje liczne fascynacje
wędrowki przez pola i miasta
by zmysły nasycić
pięknem przyrody i architektury
eskapady rowerowe
do krajów wielu
ileż tam się dzieje!
moje malowanie Santoka
struganie „gąsiorów”
czytanie i nieudolne pisanie
by wiele w pamięci zachować*

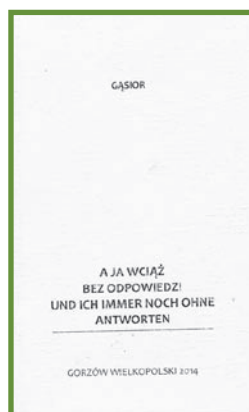
*o dziwo unikam człowieka
którego bardziej niż kiedyś
się boję*

Na zakończenie proponuję wiersz, który mnie zachwycił swoją lapidarnością. Jest to liryk miłosny – forma i tematyka bardzo rzadko pojawiająca się w całej twórczości Gąsiora. Wiersz szalenie młodzieńczy, wręcz stojący w sprzeczności z wyważonymi refleksjami doświadczonego życia autora.

*Niedziela – Ty
poniedziałek – Ty
wtorek – Ty
środa – Ty*

chyba jestem zakochany

Gąsior, „Blżej”, oprac. Jerzy Gąsiorek, wyd. Drukarnia „Sonar”, 86 s. W wydaniu tomiku pomogła Fundacja Ochrony Przyrody i Dóbr Historycznych Ziemi Santockiej.



Tomik Jerzego Gąsiora „A ja wciąż bez odpowiedzi” w ubiegłym roku wydała gorzowska Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. Złożyły się na nią wiersze wybrane z wcześniejszych tomików, w których autor najdobitniej rozlicza się z historią. Wyboru tego dokonano mając na myśli niemieckiego adresata. Adresat był, ale wtedy zawód tłumacz. Niestety, w naszym mieście ciągle nie mamy tłumaczy o ambicjach literackich, bo oprócz słów, trzeba w tłumaczeniu oddać ducha wiersza. A to niełatwe. Poszukiwania nowego tłumacza zaprowadziły do Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej, ale nie do jej pracowników, a studentów. Konkretnie nawet studentów Brandenburgische Technische Universität z Cottbus, którzy uczestniczyli w warsztatach translatorskich w Gorzowie. Nad ostateczną wersją polsko-niemieckiego tomu czuwali: Sławomir Szenwald z Polski oraz dr Charlotta Bergmann i Nina Kettler z Niemiec.

Gąsior, „A ja wciąż bez odpowiedzi” – „Und ich immer noch ohne Antworten”, wyd. WiMBP im. Zbigniewa Herberta i PWSZ im. Jakuba z Paradyża, 96 s. Warsztat i wydanie dofinansowane z programu Erasmus.

WIERSZE MYŚLĄCE MARKA PIECHOCKIEGO

Mówi się, że nikt nie czyta wierszy współczesnych poetów. Marek Piechocki dowodzi, że tak nie jest. On nie tylko czyta utwory innych poetów, ale także o nich myśli. Potem wybiera wers lub kilka wersów, które najsilniej inspirowały jego własne rozważania i stawia go w miejsce tytułu, dokładnie wskazując, skąd pochodzi. Następnie zapisuje swoje myśli jako własny, samodzielnie zbudowany wiersz. Tomikowi z tak zrodzonych wierszy Marek dał tytuł „Preteksty”.

Słownik języka polskiego definiuje „pretekst” jako „błahy powód ukrywający prawdziwe i istotne przyczyny lub cele jakiegoś działania”. Tu naprawdę „prawdziwy i istotny” jest tylko wiersz Marka Piechockiego.

Różne są przyczyny pisania wierszy. Marek Piechocki wybrał inspirację literacką.

Czyta wiersze różnych współczesnych poetów. Tych z wcześniejszą datą urodzenia, jak Jarosław Marek Rymkiewicz czy Leszek Żuliński, i tych z niedawną, jak Agnieszka Moroz czy Natalia Pałczyńska. Rozpoczyna zazwyczaj albo od akceptacji tego, co twierdzi autor w przywołanym tekście, czasami z nim polemizuje. Dalej zawsze rozszerza znaczenia lub przenosi rozważania na inny poziom. Najczęściej cytowane wersy rodzą jego bardziej uniwersalne spostrzeżenia, inne zaś kierują do ogromnie osobistych refleksji. Często przywołuje swoje wspomnienia, bywa, że dodaje fragmenty wcześniejszych wierszy, a wszystko po to, by utwierdzić czytelnika, jak głębokie są jego analizy. Bardzo dużo tu rozważań związanych z przemijaniem, wpływem czasu, zmianami w człowieku (czyt. poecie) wraz z jego dojrzewaniem, a potem starzeniem się.

Marek Piechocki dał nam – jak to określił we wstępie Leszek Żuliński – wiersze myślące. Proste, bez żadnych ozdobników, jasne, a przecież wymagające zastanowienia. Wprost wymuszające zadumę nie nad tym, co autor chciał powiedzieć, ale co ja myślę na dany temat, do czego on (poeta, wiersz) mnie inspirował. Na skrzydełku okładki Marek prosi czytelników o ich czas na zagłębienie się w te wiersze. Kontemplacyjny ton wierszy narzuca potrzebę refleksji własnej. Do tych wierszy trzeba wracać, myśleć o nich z natchnieniem, drażnić tematy.

Na okładce książki widzimy profil pięknej kobiety, ale jakby w głębi, bo częściowo przesłonięty jest może firanką, może kawałkiem zmiętej bibuły. To fragment obrazu Juliusza Piechockiego, brata poety, pod tytułem „Nostalgia”. To co zewnętrzne – zdają się mówić bracia Piechoccy – jest mało ważne. Dopiero zagłębiając się poza słowa lub firanki zobaczymy to, co prawdziwe, co piękne i co mądre.

„Preteksty” to ważny tom w literackim dorobku Marka Piechockiego i na pewno równie ważny dla całego środowiska literackiego Gorzowa. Polecam go wszystkim.

Zygmunt Marek Piechocki, „Preteksty”, wyd. Sonar, Gorzów Wlkp. 2014, 46 s.

NASZ „CENTRAL PARK”

Inicjatorem albumu „100 lat Parku Róż” i autorem tekstu jest Robert Piotrowski, który uważa, że ten park pełni w Gorzowie tak ważną funkcję jak „central park” w Nowym Jorku. Z jego zbiorów pochodzi większość przedwojennych zdjęć, a powojenne – przede wszystkim z albumów rodzinnych jego żony, Anny Jodko.

Na początku XX wieku Towarzystwo Upiększania Miasta wykupiło łąki i mokradła leżące między dzisiejszymi ulicami Sikorskiego i Kosynierów z przeznaczeniem ich na park imienia Cesarza Wilhelma. Otwarto go w 1913 roku. W następnych latach park rozbudowywano, założono rosarium, ogród botaniczny i zoologiczny, skalniak, staw, ustawiono białe ławki. Zimą był niezwykle popularny z powodu ogromnej ślizgawki. Równie ważne było jego otoczenie. W willech wokół mieszkali bogaci przemysłowcy, obok domów roztaczały się ogrody, nad brzegiem Kłodawki znajdowała się legendarna restauracja po wojnie zwana „Wenecją”.

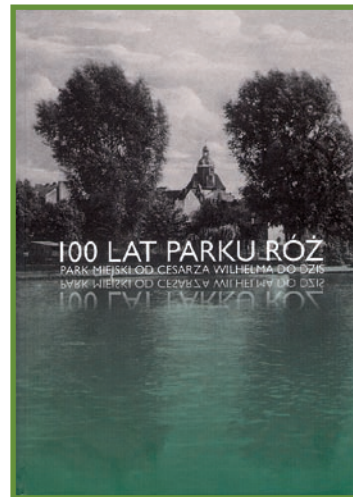
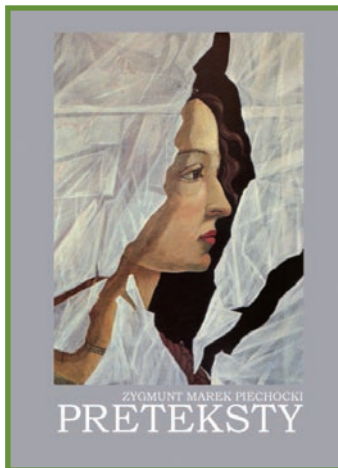
Po 1945 roku polscy mieszkańcy Gorzowa tak polubili park, że nadali mu potoczną nazwę – Park Róż – choć oficjalnie nazywa się Parkiem Wiosny Ludów. Był miejscem wypoczynku dla całych rodzin. I tak jest do dziś.

Wspomnienia tego parku znalazły się w utworach wielu pisarzy: niemieckich Christy Wolf i Gottfrieda Benn, oraz polskich – Zdzisława Morawskiego, Marka Wojciechowskiego, Władysława Łazuki. W albumie zostały przypomniane.

Dużo w tym albumie przeszłości, ale brakuje mi prezentacji parku dziś. Rosną tu przecież niezwykle okazałe drzewa i krzewy, jest urokliwy mostek

ze starymi lampami, odbywają się imprezy. Dużo tu pięknych miejsc, a przecież park pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Bo nawet ubiegłoroczny jubileusz jego 100-lecia nie wzbudził takiego zainteresowania parkiem władz miasta, żeby to mieszkańcy dostrzegli. Może nareszcie ten album uświadomi wszystkim, że Park Róż powinien – jak w latach poprzednich – być dumą miasta. Był Landsberg miastem parków – Gorzów także mógłby o takie miano zabiegać.

Najważniejsze w albumie są jednak zdjęcia ukazujące urok cichych zakątków przedwojennego parku, radość z niego polskich gorzowian, a na końcu współczesne fotografie miejsc najładniejszych. Dominuje urokliwy nastrój miejskich krajobrazów i miejskiej przyrody ukształtowanej ręką ogrodnika.



Wielkie podziękowanie dla Roberta Piotrowskiego oraz wydawców: Kamienicy Artystycznej „Lamus” i Stowarzyszenia Promocji Kultury „Kamienica” za kolejne potwierdzenie ciągłości dziejów miasta i za piękny album o Landsbergu i Gorzowie.

„100 lat Parku Róż – Park miejski od Cesarza Wilhelma do dziś”. Autor – Robert Piotrowski, redaktor całości Zbigniew Sejwa. Zdjęcia ze zbiorów Roberta Piotrowskiego, Anny Jodko, i innych. Wyd. Kamienica Artystyczna „Lamus” oraz Stowarzyszenie Promocji Kultury „Kamienica”, 120 s.

LITERACKI PAMIĘTNIK DWÓCH PAŃ Z SOSEN

Księga jest dwujęzyczna, z dużą ilością fotografii, wydana na dobrym papierze, gruba i ciężka, ale – co najważniejsze – dobrze się ją czyta. To wspomnienia dwóch pań z rodziny von Klitzing, które dzieciństwo spędziły na dworze w Charlottenhoff, czyli dzisiejszych Sosnach w gminie Witnica. Znakomity przykład literackiego pamiętnika.

Hilda von Laer, urodzona w 1917 roku, dużo zapamiętała a potem zapisała w swojej opowieści o rodzice, organizacji domu i majątku, o wydarzeniach nadzwyczajnych i o dniach codziennych. Najważniejszą część wspomnień poświęciła Sosnom: najpierw rodzicom, którzy stworzyli zasobny dom, a swoje dzieci uczyli przede wszystkim miłości do Boga i do przyrody. Potem wychowaniu, zawsze pod opieką guwernantek i guwernerów, aby gdy dziecko osiągnie 14 lat, wysłać je do odległej szkoły z internatem, w którym narzucano żelazną dyscyplinę. Autorka wspomina, że jeszcze długo po jej ukończeniu w nocnych koszmarach wracały do niej sceny przemocy, które miały ją ukształtować na dobrą Niemkę. Ale dzięki takiemu wychowaniu umiała sobie potem radzić w najtrudniejszych okresach życia, łącznie z latami wojny. Jednak swój powojenny dom zawsze budowała na wzorce rodzinnego, mimo że bez służby i bez majątku ziemskiego. Umiłowanie wsi miało zasadniczy wpływ na jej decyzję: została lekarzem weterynarii, choć był to fach w jej rodzinie dla kobiety prawie nie do zaakceptowania.

Krócej mieszkała w Charlottenhoffie Anne Margarete von Klitzing, najstarsza córka najstarszego z braci Hildy, urodzona w 1933 roku. W jej wspomnieniach nie ma tyłu szczegółów, ale pozostała miłość do miejsca, w którym się wychowała. Ona ogromnie przeżyła konieczność opuszczenia dworu w 1945 roku i drogę na zachód, za Odrę. Przejmująca jest jej opowieść.

Pani Anne Margarete jako pierwsza w 1976 roku z trudem wystarała się o paszport i przyjechała do Sosen. Zobaczyła mocno zniszczony dwór i zabudowania gospo-

darcze. Najbardziej jednak było jej przykro, gdy polskie kobiety odgoniły ją, Niemkę, spod białej bramy prowadzącej na dziedziniec z ukochaną aleją kasztanową. A przecież nie miała złych intencji, chciała tylko zobaczyć miejsca swojego dzieciństwa.

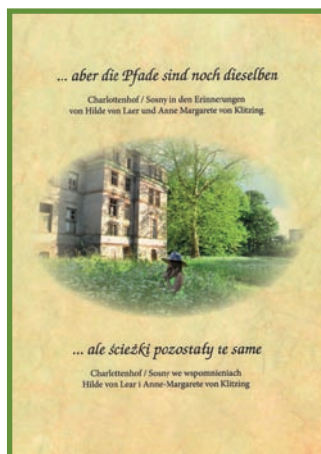
Do Sosen przyjechała ponownie w 2001 roku na osobiste zaproszenie nowej właścicielki dworu w Sosnach, pani Joanny. Choć budynki były w jeszcze gorszym stanie, zobaczyła, że nowa właścicielka dzielnie zabiera się za odnowienie całości. Zobaczyła, że choć czas bardzo źle się obszedł z majątkiem jej rodziny, ścieżki pozostały te same. I właśnie to stwierdzenie „ale ścieżki pozostały te same” przeniesiono do tytułu książki. Na zakończenie wizyty pani Joanna dała Anne Margarete mały, ale jakże symboliczny prezent: klucz do białej bramy majątku w Sosnach.

Od tej pory obie panie von Klitzing wiele razy przyjeżdżały do Sosen, zaprzyjaźniły się ze Zbigniewem Czarnuchem z Witnicy, były członkami Polsko-Niemieckiego Stowarzyszenia Educatio pro Europa Viadrina.

W gorzowskim muzeum, na parterze, w tak zwanej sali biedermeierowskiej stoi czerwona kanapa, a nad nią wiszą portrety małżonków Klitzingów, pierwszych, którzy miesz-

kali w Sosnach. Kanapa także do nich kiedyś należała. Zarówno obie panie, jak i inni członkowie rodziny uznali, że gorzowskie muzeum to najlepsze miejsce dla rodzinnych pamiątek.

Hilde von Laer i Anne Margarete von Klitzing niedawno zmarły. Pozostały ich wspomnienia, które są nie tylko pamiątką rodzinną, ale także dokumentem stylu życia w majątku ziemskim naszego regionu. Panie opowiedziały o życiu, jakie już tu nie wróci.



„...aber die Pfade sind noch dieselben” – Charlottenhoff / Sosny in den Erinnerungen von Hilde von Laer und Anne Margarete von Klitzing // „...ale ścieżki pozostały te same...”

– Charlottenhoff / Sosny we wspomnieniach

Hilde von Laer i Anne Margarete von Klitzing. Wydawca – Miejski Dom Kultury w Witnicy na zlecenie Polsko-Niemieckiego Stowarzyszenia Educatio pro Europa Viadrina. Red. Catherine Griefenow-Mevis, tłum. studenci i pracownicy naukowi Uniwersytetu Wrocławskiego.

Z perspektywy Writzen...

ORZEŁ MOŻE...

Jak tylko może,
(najlepiej)
na obczyźnie orze.

NA CZASIE

Oj, naskrobia się w Polsce
kobiety...
Sorry, taki klimat mamy
– niestety!!!

NEZATAPIALNY POSEŁ

Załatwiony został w locie
przez...
własną żonę – w samolocie!

NA NIEZAWODNOŚĆ

Czy to wieczór, czy poranek,
pełny jestem niespodzianek.

Jerzy Grodek

NOBEL ODKURZA PATRICKA MODIANO

Francuski pisarz, Patrick Modiano, uważa, że nasza przeszłość jest ważniejsza od naszej przyszłości. Jego zdaniem osobowość człowieka kształtują zdarzenia, w których braliśmy udział, i ludzie, z którymi się zetknęliśmy. A nasza przyszłość jest tylko konsekwencją tamtych wpływów. Tematem wszystkich książek Modiano jest więc przeszłość. Ale nie ta zwyczajna, zapamiętana lub zapisana, lecz taka, do której z trudem się dociera, którą się odkrywa. Poszukiwanie przeszłości w jego książkach łączy się z tajemnicą, z niespodzianką, czasami ma walor kryminalny, a zawsze dominuje mozolne drażnienie tego, co minęło.

Modiano urodził się w 1945 roku, debiutował w 1968, a Wikipedia podaje 30 tytułów jego francuskich książek. Na język polski przetłumaczono osiem, raczej z wcześniejszego okresu twórczości. Wszystkie są krótkie, każda liczy około 100 stron. Przeczytałam trzy, ale na ich podstawie mogłam sobie wyrobić zdanie o twórczości noblisty Anno Domini 2014.

Najwyżej notowaną książką Patricka Modiano była dotąd „Ulica ciemnych sklepików”, za którą w 1978 roku dostał najwyższą francuską literacką nagrodę – Nagrodę Goncourtów. Jej bohaterem jest pomocnik paryskiego antykwariusza, który 10 lat wcześniej doznał amnezji, ale dopiero teraz próbuje odnaleźć siebie z przeszłości. Stara fotografia jest pretekstem do odszukania osób – jednych właściwych, innych będących mylnym tropem – w różnych środowiskach, a nawet krajach. Wracają lata sprzed, a potem czas wojny wymagający zachowań tak różnych od tych z okresu pokoju. Niestety, bohater jest mało ciekawy, bez osobowości, bez siły, jakiej wymagają tego rodzaju dociekania. Autor pozwala czytelnikowi uczestniczyć w tylko wybranych scenach tych poszukiwań, które w zasadzie się nie kończą, bo ostatni rozdział jest jakby otwarciem nowej furtki.

Bohaterem „Zagubionej dzielnicy” jest mieszkający w Anglii pisarz kryminalów, który przyjeżdża do Paryża, aby podpisać umowę z japońskim wydawcą jego książek. Początkowo miał zamiar zaraz po przeprowadzeniu tej transakcji wrócić do żony i dzieci, ale dopiero w Paryżu uświadamia sobie, że nie może tego zrobić. Bo on urodził się w Paryżu, tu wzrastał, dojrzewał, ale także doznawał przykrości, z powodu których jako dwudziestolatek postanowił zmienić nie tylko miasto, ale nawet kraj zamieszkania. Wszystko to, co go łączyło z Paryżem, po prostu wyparł z pamięci. Tymczasem na miejscu okazało się, że to nieprawda, że Paryż ciągle w nim żyje. Znowu chodzi znanymi niegdyś ulicami, odwiedza dawnych znajomych, wraca do zatartych spraw. Szuka siebie sprzed lat.

Trzecią z moich lektur – pt. „Nawroty nocy” Patrick Modiano napisał najwcześniej, bo w 1969 roku. Tu wyraźnie widać, jak młody autor szuka swojego języka i swojego sposobu na snucie opowieści. Książka rozpoczyna się od jakiegoś przyjęcia w okresie wojny. Francuska wojna była całkiem inna niż polska, tam można było urządzać przyjęcia

z udziałem wielu, często nieznanym sobie osób. Czytelnik dostaje strzępy różnych rozmów, jest wprowadzany w rozmaite sytuacje widziane raz z jednego, a potem z innego punktu widzenia, mieszają się ludzie z ruchu oporu ze zwolennikami Hitlera. Narrator jest zagubiony w tym świecie nie mniej niż czytelnik. Znowu brak wyraźnej akcji i rozwiązania naszkicowanych problemów. Najciekawszym elementem konstrukcyjnym książki są właśnie tytułowe nawroty, tak jakby sprawy i czas zataczały kolejne koła.

Cechą wspólną wszystkich książek Modiano jest drobiazgowość wręcz autentyczność miejsc, łącznie z ich klimatami. Podobno mogą służyć jako przewodnik, pokazując nawet ludzi, którzy zwykli przychodzić na przykład do opisywanej kafejki. Paryż przegląda się w tych książkach. Modiano ma niezwykłą umiejętność budowania nastroju, głównie smutku i tęsknoty. I choć po zakończeniu lektury nie wiadomo, co się stanie z głównymi bohaterami,

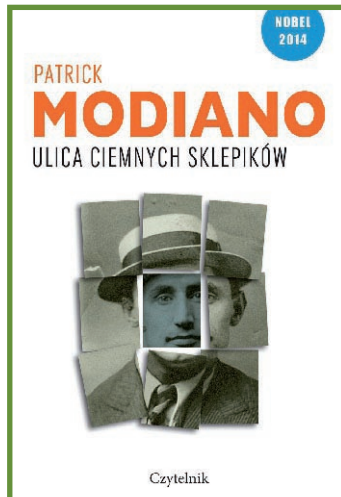
to pozostaje w pamięci nostalgia, mglistość, nastrój rozmycia uczuć, dążeń, spraw...

Ze względu na tę nastrojowość utworów Patricka Modiano jego książki świetnie nadają się do słuchania. W drugim programie Polskiego Radia w cyklu „To się czyta” Tomasz Borkowski czytał obszernie fragmenty książki „Cyrk przyjechał”. Słuchałam ich z wielką przyjemnością. Właśnie ta forma – moim zdaniem – najlepiej ukazuje walory języka i stylu Patricka Modiano.

Szwedzka Akademia przyznała swoją nagrodę Patrickowi Modiano „za sztukę pamięci i dzieła, w których uchwycił najbardziej niepojęte ludzkie losy i odkrywał świat czasu okupacji”. Okupacja dawno za nami, w najnowszych książkach pisarza już jej w ogóle nie ma. Zapewne na przełomie lat 60. i 70. taki sposób pisania mógł być nowatorski, ale życie zweryfikowało walory literackie tych książek. Są one skromniutkie. Sądzę, że gdyby nie Nagroda Nobla, dorobek tego pisarza zwyczajnie poszedłby w zapomnienie. Z jej okazji został nieco odkurzony.

Niedawno ukazała się jedna z nowszych książek Patricka Modiano – „Perelka”. Wydawca tak ją reklamuje: „Historia poszukiwania tożsamości, korzeni, równowagi w świecie narratorki składanym z fragmentów wspomnień na poły rzeczywistych, na poły onirycznych. Element po elemencie czytelnik ów świat poznaje, odkrywa jego części, które stopniowo pozwalają sobie uświadomić, jak nieznacznie tytułowa bohaterka czuje się w swym byciu”. Choć główną bohaterką jest tu kobieta, a nie, jak wcześniej, mężczyźni – ciągle to samo.

Prezentowane książki wypożyczyłam z Filii nr 10 Wolewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Są niepozorne, cieniutkie, wydrukowane na kiepskim papierze. Przede mną były czytane przed około 20 laty. Kierowniczką filii, pani Maria Gapska, sama się dziwi, że ich nie wyrzuciła na makulaturę. Widocznie miała przecucie, że ich autor dostanie Nagrodę Nobla. Na szczęście.

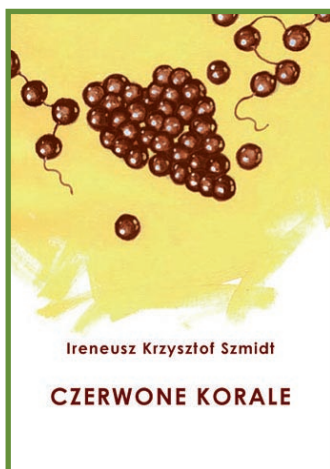


Czytelnik

RYBACKIE OPOWIEŚCI O KOBIECACH, MEDEA I KOLCHIS

Ireneusz Krzysztof Szmidt (ur. 1935 r. w Zgierzu), poeta, prozaik, dramaturg, reżyser, jeden ze współtwórców teatrzyków i kabaretów studenckich. Zgodnie z przyjętymi kryteriami okołoliterackimi powinien należeć do pokolenia Współczesności, gdyż debiutował w roku 1954 i jest rówieśnikiem Ernesta Brylla. Jednak swoją pierwszą książkę poetycką wydał dopiero w roku 1963, kiedy w prasie i księgarniach zaczynają się pojawiać utwory autorów, których we wspomnianym dwutygodniku literackim określono mianem już młodszych od nas, czyli (dez)orientacji poetyckiej Hybrydy. Trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, że młodzi pisarze debiutujący poza Warszawą i Krakowem, czyli – jak wtedy mawiano – na tzw. prowincji, mieli bardzo utrudniony start, więc kilkuletnie, a nawet kilkunastoletnie różnice w obrębie tych samych roczników były zjawiskiem powszechnym. A Szczecin lat pięćdziesiątych z dwoma tylko wyższymi uczelniami: politechniczną i medyczną, dwoma gazetami był w gorszej sytuacji niż Wrocław, Poznań, Lublin, czy nawet Gdańsk i Katowice. To w Szczecinie zaczynał swoją literacką karierę Ireneusz K. Szmidt, od 1965 roku członek ZLP, w którym przez wiele lat był opiekunem Koła Młodych, potem sekretarzem i w końcu prezesem Zarządu Oddziału. Działalność organizacyjna i pedagogiczna wydatnie zmniejszyła ilościowy dorobek autora „Czerwonych koralu”. Dziś, gdy debiutanci z lat dziewięćdziesiątych lub początków naszego stulecia mają na swoich kontach po kilkanaście książek, może dziwić tylko siedem tytułów Szmidta zasygnalizowanych na czwartej stronie okładki recenzowanego, a dość niezwykłego, tomu krótkich opowiadań. Dlaczego niezwykłego? Bo oprócz opowiadań książka zawiera scenopis dwuaktowej sztuki o tematyce... archetypicznej. Amfitriony, elektry, kasandry, edypy, fedry, medee i wielu innych bohaterów/bohatek antycznego dramaturgii pojawiają się często w wielu dramaturgiach dwudziestowiecznych, bądź w kontekście polemiczno-ideowym, bądź jako dalszy ciąg losów powszechnie znanych postaci literackich. Zjawisko to należałoby powiązać z pojawieniem się psychoanalizy oraz pozostającej pod wpływem Junga koncepcji mitu jako prafilozofii. Do tego typu sztuk należy również Szmidt „Medea – kameralna tragedia rodzinna niewiernie przepisana z Eurypidesa”, wystawiona w teatrze gorzowskim im. J. Osterwy w listopadzie 2000 roku, tj. dokładnie 2431 listopadów po ateńskiej premierze tragedii Eurypidesa. Od kilkunastu lat I. K. Szmidt żyje i pracuje w Gorzowie Wlkp., gdzie założył i doprowadził do rozkwitu miejscowy Oddział ZLP oraz dwa pisma literacko-kulturalne, z których jedno, tzn. kwartalnik „Pegaz Lubuski”, wychodzi do dziś w wersji papierowej oraz internetowej.

Naturalnie, sztuka teatralna istnieje wyłącznie na scenie. Nie widziałem tej inscenizacji, więc nie mogę się wypowiadać na jej temat, chociaż wnosząc z wielu miejsc dobrze napisanego tekstu, dającego aktorom znakomite pole do popisu, był to utwór ciekawy. Kusiłoby porównanie ze sto-



sowną częścią tetralogii Eurypidesa czy mitami o argonautach i Jazonie-mężu nieszczęśliwej dzieciobójczyni. Ale to temat do obszernego eseju prowadzącego do zupełnie nieoczekiwanych konkluzji. Czy jest sens umieszczania tekstu sztuki pomiędzy opowiadaniem? Burzy to przecież koncepcję książki. Naturalnie, autorowi potrzebne to jest do propagowania własnego utworu dramatycznego. Jednak, gdy zastanowimy się po lekturze tych opowiadań, bez trudu zauważymy, że ich dominującym tematem jest leitmotiv wszelkich opowieści o księżniczce z Kolchidy, czyli zdrada. Zarówno w mitologii, jak i w antycznej tragedii jest to zdrada popełniona przez mężczyznę, u szczecińsko-gorzowskiego pisarza – także przez kobietę. I nie chodzi tu o symetrię obyczajową czy modyfikację starych opowieści, ale o pewną dość realistyczną koncepcję cywilizacyjną. Żyjemy u progu nowego matriarchatu – zda się mówić Ireneusz K. Szmidt – więc czyni pań są ważniejsze niż dotychczasowa, patriarchalna obyczajowość. Zważywszy, że tylko dwa opowiadania „Dobry kumpel Feliks” oraz „Podróże z ojcem” nie traktują o relacjach męsko-damskich, te trzy, w których przyczyną tragedii jest niewierność kobiet, stanowią dokładnie połowę opowiadań o tematyce erotycznej. Jeśli do tego dodać opowiadanie „Ślepy”, w którym niestabilność emocjonalna i skłonność bohaterki do flirtów jest przyczyną dwóch bójek zakończonych trwałym kalectwem mężczyzny, dominująca tendencja książki staje się oczywista.

Opowiadania Szmidta to proza ambitna, bardzo dobrze napisana, śmiało operująca skrótem, gdzie dwa-trzy słowa wyjaśniają sytuację lub służą do precyzyjnej charakterystyki bohaterów. Nic dziwnego, gdy I. K. S. rozpoczął swoją przygodę z literaturą, w modzie był Ernest Hemingway – mistrz zwięzłości, ceniony zwłaszcza przez Hłaskę i tzw. hłaskoidów. Oczywiście, autor „Czerwonych koralu” nie należy do tego nurtu prozy, ze względu na swoją fascynację teatrem i poszukiwaniami elementów poetyckich, zarówno w prozie jak i w utworach przeznaczonych dla sceny. Pomijając już fakt, że jest to odrębna koncepcja estetyczna, widać różnice w samym potraktowaniu tematów. Lapidarność pozostaje megarematem.

Sposób ujęcia zrównoważonej relacji między akcją a fabułą, jak to często bywa w tradycyjnej prozie o większych ambicjach artystycznych, ciąży bardziej ku metaforze niż opisywaniu. Przykładem może być króciutkie opowiadanie o tytule pasującym raczej do cyklu opowieści niż do migawki wspomnieniowej z czasów okupacji. W „Podróżach z moim ojcem”, utworze niewątpliwie powstałym z inspiracji autobiograficznych, podobnie jak opowiadanie „Agata, czyli zwykła proza”, mamy odnotowany przejazd tramwajem przez bałuckie getto – królestwo prezesa Chaima Rumkowskiego (1877-1944), słynnego kupca łódzkiego... I scena swoistego protest-streakingu... W odruchu buntu jakiś przymusowy mieszkaniec Litzmannstadt zrzuca z siebie ubranie z Magen Dawid i nago rzuca się pod tramwaj. Tej

tragedii towarzyszy „wulgarny śmiech” pasażerów z wagonu Nur fuer Deutsche. Tak wygląda akcja tej miniaturki prozatorskiej. A fabuła? Trudno przypuszczać, aby autor stosujący po latach konwencję retrospektywną (wspomnieniową?) i pierwszo-osobową narrację, nie znał losów łódzkiego getta i dziejów samego Przewodniczącego, postaci niewątpliwie tragicznej, chociaż w inny sposób niż inż. Adam Czerniakow. Wspomniana scenka może więc uchodzić za polemikę z przemówieniem Rumkowskiego wygłoszonym 4 września 1942 roku na początku tzw. Wielkiej Szpery. Tu nie ma właściwie ani przymusu, ani szantażu, jest akt publicznie popełnionego samobójstwa. Protest, przypominający późniejsze samo podpalania się mnichów buddyjskich. Można snuć różne dywagacje o tragizmie, który stwarza inny tragizm, ale nie sposób odmówić gorzowskiemu pisarzowi konsekwencji w drażnieniu zjawiska tragiczności. Medea przecież to klasyczna tragedia. Na sposób potoczny, stawiający znak równości między wypadkiem a tragedią (tragiczny wypadek, tragiczna śmierć), tragizm stanowi osnowę opowiadania „Dobry kumpel Feliks”, którego bohater-kominiarz, pragnący zademonstrować kolegom swój legendarny profesjonalizm, ginie spadając z dachu.

Ze względów obyczajowych warto wspomnieć opowiadanie „Zielone oczy Ludwika”. Jeśli się nie mylę, jest to jeden z nielicznych przypadków w polskiej prozie artystycznej opisania, a właściwie zasugerowania, coitus necrophilius. Jak powszechnie wiadomo nekrofilia jest zboczeniem, ale sam czyn karze się za zbezczeszczenie zwłok. W opowieści Szmida rolę sądu spełniają koledzy, którzy wyłowili topielicę. Opowiadanie to, podobnie jak większość innych, napisane jest w konwencji wszystkowiedzącego narratora. Nieliczne utwory, jak już zasygnalizowane króciutkie opowiadanie o bałuckim getcie, są w narracji pierwszoosobowej. Dzisiaj to również proza tradycyjna. Nie chodzi jednak o eksperymenty lub uleganie modom, ale o to, aby wypowiedzieć się sprawnie i zasugerować więcej, niż może to wyrazić przeciętny tekst. Tak dzieje się w przypadku tych krótkich opowieści ześrodkowanych na zjawisku tragiczności bądź zdrady. W niewielkiej książeczce Ireneusz Krzysztof Szmidt zademonstrował dobry warsztat prozatorski, znakomite opanowanie dialogu i mowy pozornie niezależnej.

Andrzej Tchórzewski

Ireneusz Krzysztof Szmidt: Czerwone korale. Wyd. Związek Literatów Polskich. Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2013, 92 s.

Andrzej Tchórzewski. (ur. 18 maja 1937 roku w Lublinie) – wybitny polski poeta, krytyk literacki oraz tłumacz poezji anglosaskiej, francuskiej, gruzińskiej i hiszpańskiej. Ukończył Wydział Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował też na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego oraz na Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach 1939-1942 przebywał w Rumunii. Od 1955 roku mieszka w Warszawie. Debiutował jako poeta na łamach czasopisma „Kamena”. W latach 1966-1968 mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Tomiki poezji: „Wnętrze kwiatu”, „Dłoń dotyku”, „Wosk na ucztę”, „Prostota”, „Reportaż z wieży Babel”, „Rok święty”, „Wielki Nemuru”.

JESZCZE O „CZERWONYCH KORALACH”

W Kamienicy Artystycznej „Lamus” w Gorzowie Wielkopolskim odbyło się autorskie spotkanie Ireneusza Krzysztofa Szmida, który promował swoją najnowszą książkę pt. „Czerwone korale”.

Jest to pierwsza książka prozatorska autora, który dotąd wypowiadał się przede wszystkim jako poeta, a także jako krytyk. „Czerwone korale” to różne utwory pisane prozą i jak dotąd niepublikowane wspólnie. Utwory w większości oscylują wokół czasów powojennych. Żona autora, Krystyna Kamińska, która jest zarówno dziennikarką, jak również krytykiem teatralnym, mówi o książce męża: „Bohaterom bardzo trudno mówić o uczuciach. Więcej są w stanie wyrazić zachowaniem, gestem, jakby przypadkowym odsłonięciem swego wnętrza. To ludzie prości, ale autor odkrywa bogactwo drzemającej w nich wrażliwości”.

Po wspomnianych opowiadaniach w tomie „Czerwone korale” odnajdujemy również dramat zatytułowany: „Medea, czyli tragedia rodzinna niewiernie z Eurypidesa przepisana”. W zasadzie dramat autorstwa Szmida niewiele się różni od greckiego oryginału, jednakże realia i język wydają się być uwspółcześnione. Tytułowa Medea – jest przeciwieństwem bohaterki wcześniejszych opowiadań, które były smutne, ale łagodne. Medea jest drapieżna, tragiczna, powodując nią gwałtowne emocje. Sztuka wystawiana była kilka razy, między innymi w gorzowskim teatrze, ale po raz pierwszy doczekała się druku.

Podczas spotkania zaprezentowane były również fragmenty gorzowskiego przedstawienia „Medei”, a jedno z opowiadań czytała aktorka Alina Czyżewska przy muzycznym akompaniamencie.

Książkę kończy proza pod tytułem „Podróże z ojcem”. Ten tekst drukowany był wcześniej w formie poematu w układzie wersowym. Teraz autor nadał mu formę prozatorską, opatrując podtytułem „Co proza jest, co poezja?”. Pojawiają się pytania: czy poeta może dowolnie edytować swój utwór? Czy dzieło jest tym samym, jeśli dwakroć przedrukowane za każdym razem ma trochę inną formę?

Niewielki tomik przeczytałam jednym tchem. Krótkie formy opowiadań Ireneusza Krzysztofa Szmida okazały się pozytywnym zaskoczeniem. Skromna forma wydanej książeczki przywodzi w pierwszym odruchu na myśl tomik poezji. Nic bardziej mylnego, choć między Autorem a Prawdą poetyckość tych form jest tu dostrzegalna. Historie są krótkie, pozornie chaotyczne, pod koniec układają się w zgrabną kropkę. Albo trzykropkę. Później chaotyczne – jak nasze życie. Niby nic nie ma sensu, ale z biegiem lat widać, jak wszystko się ze sobą łączy. I to właśnie przedstawiają opowiadania Szmida. Pejzaże z życia zwykłych ludzi. Nie poetów i nie błyskotliwych wieszczów tylko najzwyklejszych ludzi. Oto rybak, marynarz, kominiarz, dziewczyna ze wsi, chłopak z kabaretu, faceci z małej prowincjonalnej miejscowości. Ich tożsamości nie są ważne, bardziej istotne są same historie i uczucia. Nieważne są szczegóły miejsca, w jakim doznają swoich dramatów i zwycięstw. Dominuje miłość i więzi pomiędzy ludźmi. To dotyczy nas wszystkich. Szmidt znakomicie pokazuje, jak ważna jest w życiu bliskość drugiego człowieka i jak mocno tkwi w nas ta potrzeba. W opowiadaniach pojawia się odwołanie do teatru, który należy do jednego z zainteresowań autora. Część historii nawiązuje także do relacji człowieka z morzem.

„Medea” jest w pewnym stopniu przedłużeniem tych opowieści. Zazdrosna, nieszcześliwa kobieta, która czuje się zdradzona, oszukana i pozostawiona sama sobie w ślepych zaułku. Mimo jej greckich korzeni i morderczych inklinacji, sytuacja życiową może przypominać wiele współczesnych kobiet. Dramat jest dość krótki i dzieje się dynamicznie. Cały tom wypada bardzo zgrabnie i bezpretensjonalnie, i jak sądzę, przyjemność obcowania z tą literaturą będzie miał zarówno koneser, jak i niewyrobitny czytelnik.

DEKONSTRUKCYJNE GRY POCIĄGOWE,
czyli SZKIC O TWÓRCZOŚCI KAROLA GRACZYKA

Wyobrażam to sobie tak: pociąg rusza. Wyrывa się z szarego krajobrazu dworca. Wraz z nim w ruch wprawione jest ciało i umysł każdego pasażera, myśli oraz obraz za oknem. W którymś z przedziałów siedzi Karol Graczyk, niepozorny obserwator zmieniającej się rzeczywistości. Notuje. Pisze wiersz albo krótkie opowiadanie, zerkając za okno lub na siedzących naprzeciw przypadkowych współtowarzyszy podróży. Zastanawiam się, o czym pisze.

Podróż pociągiem jest jedną z najbardziej widocznych inspiracji w twórczości Graczyka. Motyw ów pojawia się w tekstach poetyckich, prozatorskich, a kolejowe związki wykazują też tytuł redagowanego przez niego czasopisma internetowego „PKPZin” (rozwiniecie: Polskie Kulturalne Podziemie). Ten młody (rocznik 1984) poeta pochodzi z Gorzowa Wielkopolskiego, a obecnie mieszka i działa artystycznie w Toruniu. Za pomocą jakich obrazów przedstawia kolejowe przestrzenie?

W polskiej refleksji literaturoznawczej nie tak wiele miejsca poświęca się motywowi kolei. Najwięcej na ten temat napisał Wojciech Tomasiak, wybitny historyk literatury i pasjonat kolei (kolekcjonuje rozkłady jazdy pociągów z całego świata). Poza jego dwiema książkami trudno odnaleźć inne propozycje spojrzenia na ów motyw w literaturze. Pomocna w rozważaniach nad kolejowymi miejscami wydaje się koncepcja heterotopii Michela Foucaulta (pociąg jest dla niego egzemplifikacją heterotopii kryzysu) oraz refleksje Marca Augé o nie-miejscach (non-lieux). Drugi z wymienionych badaczy dowodzi, że istnieją obszary, których status nie pozwala klasyfikować ich do kategorii miejsc. W jego koncepcji są one antynomiami miejsc, stąd zwane są nie-miejscami. Cechą ich jest nietożsamościowość i ahistoryczność. Francuski badacz jako przykłady takich nie-miejsc podaje m.in. trasy kolejowe, „środki transportu” (w tym pociągi), dworce, wesołe miasteczka i supermarkety. Są to miejsca nieantropologiczne, z którymi człowiek nie nawiązuje bliskich, duchowych (Martin Heidegger określiłby je jako „zamieszkiwanie”) relacji. Bycie w nich jest tylko prowizoryczne, jakby potencjalne, bo zmierza w innym kierunku.

Pociąg to przestrzeń inspirująca dla wielu współczesnych pisarzy. Trudno nawet wskazać tych, którzy w swojej twórczości nie podjęli tematów ewokowanych poprzez krąg zagadnień związanych z koleją (a mogą to być: podróże, podróżni, dworce, poczekalnie, rozkłady jazdy, refleksje nad przemijaniem i śmiercią itd.). Tomasiak nazwał pociąg w tytule swojej książki „ikoną nowoczesności”. Na ile filozofia pociągu Graczyka wpisuje się w nowoczesny sposób myślenia o miejscu? I czy w przypadku tej poezji można mówić o filozofii pociągu?

Według koncepcji Augé podróżny nie jest w stanie wytworzyć silnej więzi z miejscem takim jak pociąg, ponieważ jest to tylko element przejściowy, środek transportu między punktem A i punktem B. Miejsca A i B są antropogeniczne, natomiast to, z czym pasażer ma do czynienia między nimi, jest pustką historyczną i tożsamościową. Czy jest więc pozbawione sensu i symboliki? Graczyk pokazuje pociąg jako cel podróży, jako przestrzeń, w której obowiązują prawa miejsca. Przykładem takiego rozumienia podróży jest choćby fragment wiersza: *Wchodzimy w pociągi by wysiąść gdziekolwiek/ zostać tam tydzień, uprawiać poezję*. Nie jest

ważne, gdzie jedziemy, ale podróż sama w sobie. Pociąg jest swoistym medium, metafizycznym wehikułem, który włada ciałem pasażera:

*Zwykle rozpoczyna się od ankiet wśród konduktorów
na temat możliwości palenia w przedziale
trzaski komunikatów podarte bilety
później sytuacja się komplikuje*

*materia przesuwa się na ustalone pozycje
ręce tracą ręce i nogi zaczyna się gra*

Opisane w cytowanym tekście doznania przypominają dekonstrukcyjną grę. Pasażer zostaje przestrzennie „rozbity”, aby na końcowej stacji mógł zostać scalony. Przechodzi w ten sposób jakieś metafizyczne uporządkowanie. W opowiadaniu „Bezpowrotnie utracona leworęczność” Graczyk przedstawia osiem krótkich refleksji, które spisał w pociągu na trasie Kraków – Gorzów Wielkopolski. Ich tematyka dotyczy np. statusu poety na prowincji czy fantazji związanych ze studentką arabistyki; są to luźne myśli krążące wokół spraw abstrakcyjnych i konkretnych, dalekich i bliskich.

Sam pociąg konkretyzuje się w ruchu. Ciało pasażera podlega jego kierunkowi jazdy, choć początkowo sprzeciwia się mu swą siłą bezwładności. Ostatecznie jednak odrywa się od świata jak dusza od ciała i doznaje innego już stanu skupienia. Tomasz Różycki nazywa to w poemacie „Dwanaście stacji” „skupieniem na sobie”:

*Czyż ruch kół, obroty, odrywanie się od świata
nie jest wstąpieniem
w inne życie, zupełnie nieznaną?*

*Czyż nie jest doskonałym
skupieniem na sobie, kiedy ciało porwane
ze świata pozostaje
w bierności przez wiele godzin?*

Różycki pyta w innym miejscu, czy podróżowanie pociągiem nie jest „przekraczaniem śmierci”. W tekstach gorzowskiego poety można odnaleźć paralelne obrazy, bo oto czarny kot ginie na torach:

*No i czarny kot, jakby każdy kot w drodze i na drodze
musiał być czarny, ale właśnie chyba jest, bóg jeden wie, skąd
się wziął, idzie wzdłuż torów i czeka na pociąg. Nagle hop,
między szyn, i tylko zapiszczy jakby chciał wejść w pamięć,
odcisnąć się w wierszu lub piosence wiejskiej.*

Pociąg przyciąga samobójców swoją siłą, powagą, dźwiękiem. Śmierć jednostki jest wyjątkowo traumatyczna dla pasażerów, maszynisty i innych postronnych osób, nie licząc rodziny. Konrad Wojtyła opisuje w wierszu „Sztuka przetrwania” tragedię bezdomnego i jego psa:

(...) Peron pierwszy cały w śniegu.

Biel i czerń. Domino pozorów.

Bezdomny z owczarkiem

wlecząc się z pasją pod koła. Chyba go nawet nie boli

ten szept pędzących wagonów. Pewnie jest już

w okolicy dziesiątego piętra. To jeszcze

*nawet nie przedświeca nieba. Pies wyje. Dusza szczeka,
ulatuje*

Ukazana w wierszu walka między życiem i śmiercią, dobrem i złem zostaje rozstrzygnięta pod kołami pociągu. De-

czyja jest już nie do cofnięcia, kiedy bezdomny zbliża się do torów. Samobójstwo zostało już popełnione (tak jak ten, który wyskoczył z okna, nie może zmienić zdania). Pędzący pociąg „szepcze”, wprowadza w trans, namawia do „przekroczenia śmierci”.

Jasną stroną pociągu stanowią przypadkowo spotkani podróżni, z którymi można wejść w niezobowiązujące rozmowy. Graczyk w opowiadaniu „Redrum” opisuje dwa spotkania. Najpierw dosiada się do niego mężczyzna o imieniu Janek, który zagaduje bohatera, a ten odpowiada bez zaangażowania. Mężczyzna wychodzi na którejś ze stacji. Następnie do przedziału wchodzi młoda kobieta. Jej obecność staje się powodem zmiany nastroju, bo nagle dzięki niej pojawia się jakaś „wysokość, a nawet wysoka ulotność i jakaś piękna łagodność (...)”. Bohater dodaje: „ale nic nie mówiłem i nie miałem zamiaru, szkoda burzyć to coś tak pięknie delikatnie wiszącego, co spoglądało na nas oboje”. Ten nadzwyczajny stan odrętwienia panował do momentu, gdy pękła świetlówka i rozpoczęła się rozmowa. Graczyk opisał też erotyzm niezamierzonego dotyku:

„Nie muszę tłumaczyć, że na tak małej przestrzeni wszelki ruch musi prowadzić do dość delikatnych spotkań i kiedy ona w końcu zastyga swoją lewą nogą przy mojej prawej na tyle blisko, że ruszając nią w rytm muzyki, minimalnie przesuwam się po jej nodze, znowu zaczynam się zastanawiać, co to może znaczyć. Musi przecież czuć te minimalne muśnięcia i może sprawia jej to przyjemność jak mi, wznecając już do granic to, co tak naprawdę może w ogóle nie istnieć, a może jest dla niej zupełnie obojętne”.

Inną kategorią spotkanych w pociągu ludzi są konduktorzy. Na ich obserwację ma się niewiele czasu, zaledwie minutę, podczas której kasowany jest bilet. Graczyk dochodzi do ciekawych konkluzji, opisując panią konduktorkę:

„(...) jak konduktor jaki, to przystojny, zawsze ogolony, w miarę wysoki, większość w każdym razie prezentowała się jak najlepiej, ale jak kobieta jaka, nie zawsze przecież, bo nie, ale najczęściej, to twarz jakaś zniszczona, jakieś kurczaki, ogólnie strach aż ciarki po plecach, że może w tych pociągach dzieje się coś złego, że z nich już wychodzi się takim właśnie, zużytym przez czas i miejsce, nieprzyjemnym z wyglądu, ale przecież nie można powiedzieć, że wchodziło się młodym i zaraz było starym, bo nie”.

Bycie zużytym przez czas i miejsce – to ciekawa hipoteza postawiona przez autora opowiadania; można ją zestawić z przypuszczeniami Alberta Einsteina. Gdyby pociąg mógł przemieszczać się z prędkością światła, można by – zgodnie z teorią względności – zaobserwować spowolnione starzenie się pasażerów i konduktorów, więc nie miałoby miejsca to „zużycie”, o którym pisze Graczyk. Istnienie w ciągłym ruchu jest dla gorzowskiego pisarza zagęszczeniem bycia, kojarzone jest więc ze stratą energii i ostatecznie ze zużyciem.

Istotnym elementem pociągu jest szyba, przez którą podróżny może obserwować rzeczywistość poza oknem, a także – na podstawie odbicia – to, co dzieje się w przedziale. Specyficzny ogląd świata za pośrednictwem pociągu Tomasi-

nazywa „widzeniem koleją”. Zauważa, że na pierwszym planie zewnętrznego krajobrazu uwidaczniają się sprzęty kolejowego oprzyrządowania: słupy telegraficzne, semafony, tarcze sygnalizacyjne itd.; krajobraz stapia się jednak w taką poszatkowaną „taśmę”.

To chyba najczęstszy widok: pasażer „przyklejony” do szyby i wypatrujący czegoś usilnie w mijającym krajobrazie i unikający wzroku pozostałych osób. Graczyk ma wątpliwości dotyczące istoty tej rzeczy: „sam nie wiem, czy okno to, czy lustro”.

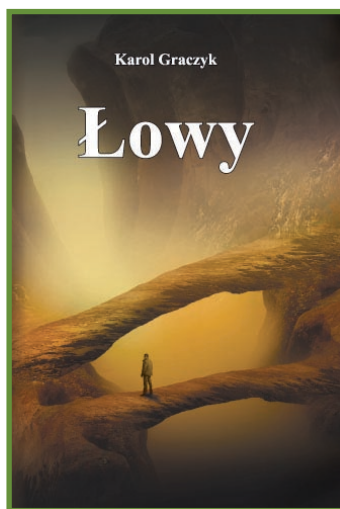
W opowiadaniu „Redrum”, bohater zauroczony ezoteryczną obecnością młodej kobiety, obserwuje każdy jej ruch i nawiązuje kontakt wzrokowy w szybie:

„Patrzę więc w jej lustrzane, a właściwie szybowe odbicie i w pewnym momencie widzę w nim, jak odkłada laptopa i również zaczyna patrzeć przez szybę, co więcej, jej odbicie w pewnym momencie zaczyna patrzeć na mnie i zastyga w tym patrzeniu (...) i nie wiem, co na to nauki ścisłe. A konkretnie fizyka, bo jak to jest? W odbiciu obraz nie jest ten sam, co rzeczywistość, weźmy jeszcze dwa kąty patrzenia – jej i mój – oraz nas dwoje rzeczywistych. I kto mi teraz powie, czy jeśli ja patrzę na nią odbitą, a to odbicie patrzy na mnie, to czy ona rzeczywiście patrzy na mnie? Czy może równie rzeczywiście tylko to odbicie mnie widzi, a ona patrzy gdzieś tam, daleko za okno?”.

Żadna z tych osób nie jest w stanie stwierdzić, czy współtowarzysz podróży obserwuje przestrzeń poza pociągiem, czy patrzy na niego, ponieważ zjawisko dotyczy zmian kształtu soczewki, które nie są dostępne percepcji siedzącym naprzeciw siebie podróżnym. Ów kontakt wzrokowy nie jest rzeczywisty, jest – jak wyjaśniłaby fizyka – pozorny.

* * *

Czy można mówić o filozofii pociągu Graczyka? Czy poezja tego młodego poety jest już ukonstytuowana, czy raczej waha się i szuka odrębnego dla siebie wyrazu? Wydaje się, że Graczyk wypracował już swój poetycki, pociągowy styl. Pisze w pociągach i o pociągach. Zdaje się wyraźnie zafascynowany przestrzenią, która inspiruje go do poszukiwania swoich dróg opisu rzeczywistości. Twórczość ta jednak nie jest i pewnie nigdy nie miała aspiracji do bycia filozofią pociągu. Nie wyjaśnia wszystkich problemów ontologii, epistemologii czy estetyki kolejowej, ale można ją potraktować jako intrygującą próbę ujęcia wielu kolejowych zjawisk.



Mirosława Szott – rocznik 1987, doktorantka literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim, krytyk literacki. Autorka tomiku poetyckiego „pomiar Zamku” (2013). Interesuje się poezją współczesną. Teksty regionalne odczytuje w perspektywie geo-poetyki. Lubi słuchać jazzu i podróżować pociągami.

Ernest Bryll

Boże Narodzenie

*Kiedy dziecko się rodzi i na świat przychodzi
Jest jak Bóg, co powietrzem nagle się zakrzuszył
I poczuł, że ma ciało, że w ciemnościach brodzi
Że boi się człowiekiem być. I że być musi.
Wokół radość. Kolędy szeleszczące złotko
Najbliżsi jak pasterze wpatrują się w Niego
I śmiech matki – bo dziecko przeciąga się słodko
A Ono się uklada do krzyża swojego*



Rys. Magda Cwiertnia

ks. Jan Twardowski

Boże Narodzenie

*Podszedł na palcach niedowiarek bo
konstytucja nie zabrania do Matki Bożej.
Mówił do Niej – tak nam się wszystko poplątało
partia przy końcu zbaraniała
niech Cię za rękę choć potrzynam
w Noc Szczęśliwego Rozwiązania*

1983

STAJENKA ZERO PROCENT

W dwudziestu czterech ratach zero procent – stajenka tak ma. Albo wręcz bezceremonialnie: stajenka nie dla idiotów. Jeszcze inaczej: wszystkie rozmowy do stajenki wliczone w abonament, a przez trzy kolejne lata grudniowy abonament też gratis. I jeszcze tak: dysk twardy stajenki pięćset giga, w żłóbku czytnik kart i złącze UBS, ekran o niespotykanej rozdzielczości. Na główce dzieciątka widać pierwsze włoski!

Koszmar? Nie, rzeczywistość.

Od czasów, kiedy pojawiły się pierwsze załączki cywilizacji, a było to co najmniej kilkadziesiąt tysięcy lat temu, człowiek obchodził święta. Pod koniec grudnia robił to od równie niepamiętnych czasów, bo wcale łatwo było zaobserwować, że właśnie wówczas dni przestaje ubywać i robią się ponownie dłuższe. Zatem świat, władany przez ciemność, wyzwala się z tego władztwa i przechodzi pod panowanie światła. Ten okres zatem jest święteczny od bardzo dawna, być może nawet jest pierwszym w ogóle okresem ustanowionym jako święto. Od dwóch tysięcy lat, co w historii cywilizacji nie jest szczególnie długim okresem, przynależy kulturze chrześcijańskiej i jest świętowany jako Boże Narodzenie. Niemniej, potrzeba dni świątecznych jest tak głęboko w człowieku zakorzeniona, że, aby sięgnąć geograficznie możliwie daleko, Japończycy, przecież szintości, Boże Narodzenie obchodzą też i to właśnie jako Boże Narodzenie.

Co oznacza, że jakiś dzień jest świąteczny? Otóż różnica między nim a dniem zwykłym jest taka, jak pomiędzy człowiekiem świętym a człowiekiem zwykłym. Jest to dzień inny, lepszy. Rdeń w słowach „święto” i „święty” jest ten sam, zatem kontekstowo znaczą one to samo. Przechodząc z dnia powszedniego w dzień święta, czyli w dzień święty, udziela się nam świętość tego dnia i razem z nim stajemy się inni, lepsi, prezentując światu i bliźnim lepszą stronę swojej natury. Zazwyczaj przygotowujemy się do tego, odbywając odpowiednie obrzędy i rytuały, a nawet jeśli nie, jak dzieje się to coraz częściej, oczekujemy na dzień święta, aby wejść w niego i dostąpić swego rodzaju iluminacji, nieobecnej w dniach powszednich. Okres przygotowań stanowią dni zwykłe, niemniej podkreślamy ich szczególny walor – dni bezpośrednio poprzedzających święto, przyozdabiając miejsca, w których przebywamy, przygotowując odpowiednie, inne od codziennego, odzienie i pożywienie, a przed niektórymi świętami i właśnie przed Bożym Narodzeniem podarunki dla osób nam bliskich, aby poprzez nie także ukazać im lepszą stronę naszej natury. Lepszą, bo świąteczną – świętą.

Zostało to zawłaszczone.

I nie chodzi o to, żebym teraz napisał, że w sposób cyniczny, bezwzględny, czy okrutny. Zostało zawłaszczone i tyle. Cywilizacja się zmienia, wraz z nią kultura. I nie mnie decydować arbitralnie, czy coś, co jest dzisiaj, jest lepsze albo gorsze od tego, co było wczoraj. Jest inne. Stajenka Bożego Narodzenia, niegdyś lepiona z gliny albo rzeźbiona w drewnie, jeszcze przeze mnie w dzieciństwie wycinana z papieru i przecież dla radosnego przyozdobienia miejsca, w którym będziemy świętować, teraz nieuchronnie zbliża się do Stajenki w dwudziestu czterech ratach zero procent i nie dla idiotów. Święto, którego jednym z symboli jest Stajenka Bożego Narodzenia, zostało ściągnięte z podwyższenia symbolu, do którego dążymy. Przestało być celem, stało się środkiem prowadzącym do celu. Należy zatem zapytać, cóż takiego jest nowym celem, przewyższającym dotychczasowe święto aż tak bardzo, że już celem ono nie jest, a jedynie środkiem. Cóż takiego jest nową istotą boską, nowym sacrum, nowym dniem świętym? Co to jest, do czego prowadzi nas Stajenka zero procent i nie dla idiotów?

Pieniądz? Mamona? Zysk?

Jerzy Alski

BRAWUROWY DEBIUT JOLANTY BORUSIEWICZ

Jolanta Borusiewicz debiutuje? Co za nonsens?!

Przecież wszyscy znają od wielu lat jej melodyjne, pełne temperamentu piosenki. Od kilku lat poznajemy też Jolę jako utalentowaną fotograficzkę oraz autorkę pięknych videoklipów z jej piosenkami, w aranżacjach Leszka Jarmuły.

A jednak! Jolanta Borusiewicz zadebiutowała właśnie w zupełnie nowej dziedzinie sztuki: w poezji. I powiedzieć, że jest to debiut udany, to za mało. Jola weszła na salony poezji w sposób brawurowy! Jej tomik „i znów dzień się budzi” to wydarzenie. Zarówno literackie, jak i edytorskie.

Wiersze układają miliony ludzi, ale tworzenie poezji dane jest niewielu. Granica pomiędzy zwykłymi zdaniem a poetyckimi strofami jest często trudna do zdefiniowania czy wyznaczenia, ale kiedy mamy do czynienia z autentyczną liryką, słyszymy to od razu, od pierwszych wersów: *W bezsenną noc/leżę sama/koło siebie...* [„Bez-senna noc”], *Znalazłam w kieszeni mojej sukienki/ resztkę minio-nego lata...* [„W mojej sukience”].

Natychmiast czujemy, że zanurzamy się w poetyckich obłokach, w obrazach stworzonych leciutkimi muśnięciami piórka, nader wyrazistych, a zarazem tak bardzo subtelnymi, delikatnymi, nawet jeśli nie zawsze są to sceny radosne: *Wyszedł/ wyjechał/ wczesnym rankiem/ Na stole pustka kartka tak wiele znacząca/ Budzik / nie słyszałam...* [„Wyszedł”].

To, co zaskakuje w wierszach Joli, to bijący często z nich smutek, wręcz dramat niespełnienia. Przede wszystkim emocjonalnego, partnerskiego, miłosego. A przecież każdy, kto ją poznał osobiście, nie mógł nie ulec jej osobistemu urokowi i emanującemu z niej zarazliwemu wręcz optymizmowi. To drugie, znacznie bardziej mroczne „ja”, długo pozostawało w ukryciu. Teraz ta radosna, pogodna i tryskająca energią artystka zaprasza nas poza swoją smugę cienia.

Mówi o niej, między innymi, w najdramatyczniejszym chyba utworze tomiku, zatytułowanym „Schody”, zadedykowanym ojcu: *Zabrakło/ jednego szczebla/ już bym była/ bliżej ciebie/ drżącym sercem / szłam/ w górę/ spodziewając się/ że czekasz/ w niebie.*

Autorka opowiada, że poezja była dla niej formą terapii, nie narodziła się ona zresztą nagle, czy niedawno, wiersze pisze od młodości, ale dopiero teraz zdecydowała się na ich opublikowanie. To zresztą wyjaśnia ich dojrzałość. Wiadomo przecież, że jakaś ilość wierszy musi wylądować w koszu (rekordzistką pod tym względem była Wisława Szymborska, która niszczyła większość swoich prób poetyckich), zanim te najlepsze ujrzą światło dzienne.

Jolanta Borusiewicz nie eksponuje zresztą jakoś szczególnie tych terapeutycznych korzeni swojej poezji, tomik „i znów dzień się budzi” ułożony jest w cykl związany z porami roku, zaczyna się od jesieni, kiedy poetka się urodziła, i kończy latem. Obok smutku nie brakuje w nich i radości, i dowcipu, i leciutkiej autoironii. Nie ma żadnego ponuractwa, najwyżej zapis rozczarowania, goryczy. Wiersze w kongenialny sposób ilustrowane są autorskimi fotografiami przyrody oraz pejzażami znad ukochanego jeziora poetki – Mälaren.

Finałowe lato zresztą jest w tym zbiorze najpiękniejsze, i znowu, nawet wtedy, kiedy nie jest do końca radosne: *Chcesz/ opisać ci jak wygląda moje lato/ Trochę marzeń/ krople deszczu/ a wieczorem śpiew szpaków/ przelotna mucha/ ledwie słyszalny konik polny/ odurzająca lampka czerwonego wina/ I na dodatek moje dudniące serce to tyle/ Mówisz ... już po lecie/ [„O lecie”].*

Czasem Jola sprawia wrażenie, jakby nie ufała sile swoich poetyckich wizji i dokłada do nich pointę wziętą trochę z innego gatunku. Dobra proza to też materia szlachetna, ale jednak bywa mocno

przyjemna. Spójrzmy na przykład na wiersz „Związek”, skądinąd jeden z bardzo nielicznych rymowanych: *Jestem twoja po kryjomu/ bez imienia i bez domu/ bez wakacji/ bez frustracji/ bez nadziei/ i przeszłości/ wspólnych ranków/ wspólnych gości/ bez podróży/ obo-wiązku...*

Czy naprawdę nie powinniśmy pozostać przy tym obrazie, czy na finał konieczne jest takie bardzo konkretne pytanie: „...W jakim jestem z tobą związku?”

Lecz w znakomitej większości utworów fraza brzmi czysto do samego końca. Wydawca tomiku, Ireneusz Krzysztof Szmidt, redaktor serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego Związku Literatów Polskich, napisał w posłowniu: „Nawet jeśli znalazłem w tych wierszach coś, co można by było wyrazić lepiej, dosadniej, inaczej, prościej, czyściej językowo, pomyślałem, że niech będzie tak, jak jest. W zasadzie nawet u wybitnych poetów nie ma wiersza, którego nie można by było, patrząc z boku, poprawić”.

Myślę, że należy się z taką opinią zgodzić. I z decyzją redaktora, by niczego nie zmieniać. Te skazy sprawiają tylko, iż oczekujemy niecierpliwie na kolejne wiersze poetki.

P.S.

Tomikowi towarzyszy płyta, na której poetka recytuje swoje wiersze (czasem w wersji nieco różniącej się od drukowanej) na tle muzycznego akompaniamentu Leszka Jarmuły.

Jolanta Borusiewicz, i znów dzień się budzi. Wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., 2014, 100 s.



ZAPROSZENIE DO SNU

I tylko ta
niepojęta cisza
połączyła dwa światy
rzeczywistość
i krainę czarów

Leniwe jezioro
powoli
powoli
obleka się
purpurą
zachodzącego słońca

Zapalone
lampki lodu
powoli gasną
ciepłym blaskiem
zapraszają do snu
Czas rozstania

ICH LITERACKIE FASCYNACJE

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta po raz drugi ogłosiła konkurs na recenzję książki adresowany do uczestników Dyskusyjnych Klubów Książki. W Gorzowie i północnych gminach województwa lubuskiego działa 50 takich klubów, w tym 11 w Gorzowie, przede wszystkim przy bibliotekach. Większość skupia osoby dorosłe, ale pracują także kluby młodzieżowe. Praca klubu polega na tym, że członkowie czytają tę samą książkę, a potem o niej rozmawiają, tak rodzą się towarzyskie kontakty, sąsiedzi lepiej się poznają, także bawią się, a nawet sobie pomagają. Biblioteka organizuje spotkania z autorami najchętniej czytanych książek. Także patronuje konkursowi pod hasłem „Moje literackie fascynacje”, którego moderatorką była Anna Królewicz-Śpętany. Konkurs organizowany jest w dwóch kategoriach: młodzieżowej (do lat 17) oraz dla osób dorosłych (czyli po 17 roku życia). Na konkurs zgłoszono 23 recenzje. W kategorii młodzieżowej napłynęło dużo dobrych prac, a więc jury przyznało dwa pierwsze miejsca oraz aż pięć równorzędnych wyróżnień. Najwięcej prac zgłosił młodzieżowy DKK z Międzyrzecza. Z Międzyrzecza pochodzą nagrodzeni: Mateusz Januchowski i Michał Kowalewski oraz wyróżnieni: Aleksander Ciślak, Jagoda Kuczyńska i Alicja Paruzel, zaś Oliwia Janik ze Zwierzynia i Aleksandra Kaczmarek z Trzciela.

W kategorii starszych czytelników pierwsze miejsce przypadło Marii Misiurze z Kłodawy, drugie – Annie Sokólskiej ze Zwierzynia, a równorzędne wyróżnienia dostały: Katarzyna Jagiełło i Anna Przybylska z Ośna oraz Magdalena Mach z Torzymia.

DOM WARIATÓW, MOŻE NIE?

„Exitus Letalis” to komiks stworzony przez KattLett, utrzymany w stylistyce mangowej. Komiks opowiada o Evie Monroe, która przysłana przez tajną organizację do Fla, małego miasteczka w Norwegii, ma zająć się grupą weteranów II wojny światowej. Dopiero na miejscu Eva dowiaduje się, iż jej podopieczni nie są starymi dziadkami, a dziewczyna została przysłana tutaj, aby zbadać przyczynę ich nieśmiertelności. Dostaje rok, żeby z pomocą swojej ponadprzeciętnej wiedzy oraz retrokognicji (odmiany jasnowidzenia pozwalającej na widzenie zdarzeń przeszłych) rozwiązać tę zagadkę. Mimo wielu przeciwności losu, bohaterka nie poddaje się i wierzy, iż uda się jej odkryć sekret mieszkańców rezydencji „Niflheim”. Czy świeżo upieczona absolwentka psychologii poradzi sobie z wyjaśnieniem tajemnicy? Pytania do końca utworu trzymają w napięciu. Trudno oderwać się od książki.

Eva, główna bohaterka, obroniła tytuł magistra mając 18 lat. Mimo swojej narkolepsji, zostaje przysłana przez KZU (tajemniczą tajną organizację międzyrządową), aby zbadać sprawę sześciu (a licząc rozdwojenie jaźni jednego z bohaterów – siedmiu) nieśmiertelnych. Każdy z nich posiada różniący się zestaw cech i zachowań.

Rysunki w książce mogą spodobać się nawet tym, którzy nie interesują się mangą ani komiksami. Proste, schematyczne (zgodnie z zasadami komiksu), a jednocześnie subtelne i eleganckie czarno-białe kadry przyciągają wzrok. Artystka doskonale oddała emocje, które wyraziście malują się na twarzach bohaterów. Równie żywy jest tekst, bo prosto opisuje to, co dzieje się w świecie wykreowanym. Autorka nawiązuje do wielu innych źródeł, np. mitologii, utworów muzycznych – tak polskich, jak i zagranicznych – wykorzystuje wspomniane wcześniej memy internetowe.

Komiks już po kilku stronach wciąga czytelnika, zacieka wia aż do ostatniej kartki. Czasami rozbawia, po chwili zaskakuje, aby następnie sprawić, czy przysłowiowy „banan na twarzy” nie zniknął przez dłuższy czas.

Sama książka bardzo mi się spodobała. „Exitus Letalis” czytało mi się niezmiernie przyjemnie, a jedyny moment, kiedy się zawiodłem, nastąpił, gdy spostrzegłem, iż komiks się skończył.

Mateusz Januchowski
DKK Międzyrzecza

HISTORIA Z DAWNYCH LAT

Nie od dziś wiadomo, że najciekawsza historia to ta, która dotyczy nas albo naszej rodziny. Sztuką jest jednak opowiedzieć historię własnej rodziny tak, aby intrygowała kogoś spoza grona naszych krewnych. Udało się to Jackowi Dehnelowi w powieści „Lala”.

Wyróżnia ją jej staromodność. „Lala” to książka bardzo niedzisiejsza, jakby nie z tej epoki. Od wrażliwości czytającego zależy, czy uznamy to za wadę, czy za zaletę. Sam autor również jest człowiekiem, który upodobał sobie staroci i stylizuje się na XIX-wiecznego dżentelmena.

Niemożliwe jest streszczenie fabuły. Można co najwyżej spróbować ogólnie określić temat książki, ale bogactwo treści nie pozwala sztywno poukładać akcji. Opowiadania o czasach współczesnych autorowi nieustannie łączą się z retrospekcjami babci autora, tytułowej Lali, której poświęcona jest ta książka. Historia rozpoczyna się w 1919 roku w Kielcach, gdzie dziewczynka przychodzi na świat. Roztargniona rodzina przez pięć lat nie daje dziewczynce imienia, dlatego bohaterka na zawsze pozostaje Lalą. Mimo że wydarzenia rozpoczynają się w 1919 roku, autor, a właściwie babcia w swoich opowieściach często przywołuje czasy wcześniejsze i akcja sięga aż XIX wieku. Centralnym miejscem tej historii jest rodzinny dworek w Lisowie. Przez ten dom przewijają się wiele postaci, z których każda jest przez babcję dokładnie opisana. I chociaż są to ludzie całkowicie nam obcy, coś sprawia, że stają się jakby dobrymi znajomymi. Nie sposób pamiętać ich wszystkich, ale wiele historii mocno zapada w pamięć. Książkę tę czytałem dość dawno, ale wciąż pamiętam m.in. to, jak dziadek autora, właściciel dworu we wsi Lisów, zaczyna używać samochodu i wybiera się na przejażdżkę po wiosce. To, co dziś dla nas jest powszednim widokiem, wtedy budziło szok i niedowierzanie.

W epizodach rozgrywających się w czasie wojny groza i niebezpieczeństwo miesza się z humorem i zwykłym codziennym życiem. Historia jednej wyjątkowej osoby przekłada się na panoramę całej epoki, pokazuje los Polaków, których minione stulecie szczególnie doświadczyło.

Sielankowy nastrój znika, gdy czytamy o starości Heleny Bienieckiej, czyli Lali. Na starość staje się całkowicie zależna od rodziny, potrzebuje nieustannej opieki. Ale cały czas mamy świadomość, że przeżyła życie pięknie i godnie.

Ktoś, kto „Lali” nie czytał, może powiedzieć: „Co mnie to interesuje? Jakies opowieści rodzinne, na dodatek o kompletnie obcych mi ludziach...”. Ale gwarantuję – Dehnel ma ogromny dar opowiadania. Najbardziej urzeka w tej niezwykłej książce to, że kiedy ją czytamy, czujemy się, jakbyśmy siedzieli w wygodnym fotelu, koło babci, która opowiada nam o dawnych dziejach. Czasem coś przekreśli, zapomni, ale dla dobrej opowieści jesteśmy w stanie wybaczyć wszystko. Powieść Jacka Dehnela ma już kilka lat, ale jeśli ktoś jeszcze do niej nie sięgnął – gorąco polecam!

Michał Kowalewski

DKK Międzyrzecz

BUKARESZT PEŁEN NADZIEI

Sięgam po kolejną książkę „**Bukareszt. Kurz i krew**” Małgorzaty Rejmer. Z początku z lekką niechęcią, bo co mnie interesuje jakiś tam Bukareszt? Ale w miarę czytania rozmawiam się coraz bardziej w czytanej treści i odnajduję w niej kawałek historii, także mojej własnej.

Jestem z pokolenia, które dzieciństwo i młodość przeżyło w czasach socjalizmu. Pamiętam, kiedy ten system chylił się ku upadkowi. Naszą polską radość, ale i strach, jak to się skończy. Czy znów, kolejny raz nas stłamszą? Czy znów poleje się krew? I godziny przed telewizorem, gdzie coraz śmieiej podawano nam informacje, co się dzieje nie tylko u nas, w Polsce, ale też i w sąsiednich, socjalistycznych krajach. A w tym wszystkim wieści z Rumunii. Tragiczne, zatrważające. Proces na żywo ich kata, pana i władcy, Nicolae Ceausescu. A potem szybka egzekucja. Nie rozumiałam wtedy tego. Jak to tak? Tak szybko? Osądzono go i natychmiast egzekucja?

Małgorzata Rejmer po tylu latach pokazuje mi w swej książce, co znaczył socjalizm w wykonaniu Słońca Karpat. Czytając jej książkę, zaczynam rozumieć, jak bardzo był zniewolony naród rumuński. Jak bardzo tęsknił do wolności i jak silny był jego gniew na te wszystkie lata pod rządami potwora. Rozumiem i chylę czoło przed wielkością tego narodu.

A jednocześnie magiczne obrazy z życia zwyczajnych, prostych ludzi. Takich jak ja. I tyle kontrastów, które tak trudno pojąć mojej polskiej duszy. Bogactwo, przepych i jednocześnie nędza, bieda. Narzekanie, a jednocześnie radość. I filozoficzna pewność, że wszystko da się przeżyć. Kraj niesamowitych kontrastów. Centrum Bukaresztu. Ulicą sunie wytworna limuzyna, a obok przemyka obdarty wyrostek z kurą pod pachą. To jeden z najbardziej smakowitych kąsków, które opisuje autorka książki. I rozmowy. Często smutne, pełne ludzkich dramatów, a jednocześnie pełne nadziei, że mimo tak tragicznej historii tego narodu, potrafi on podnieść się z kolan. Nadzieja, że warto patrzeć w przyszłość i zmieniać bieg historii.

To książka, która zapada w serce i będę do niej wracać, bo opowiada o takich zwykłych ludziach. Jak ja. O ludziach zaplątanych w dzieje historii, na którą często nie mają wpływu, a jednak starają się żyć godnie. Pełni brzydoty, a przecież w swoisty sposób piękni w swym człowieczeństwie. Polecam serdecznie tę pozycję. Warta przeczytania.

Maria Misiura

Dyskusyjny Klub Książki w Kłodawie

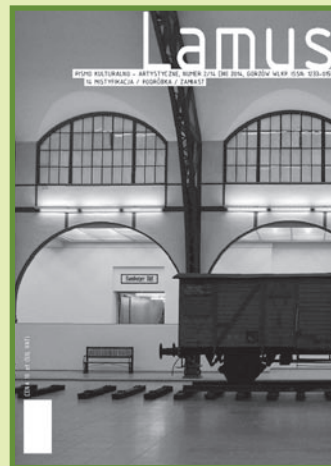
ZAPOWIEDZI

TADEUSZ SZYFER, znakomity satyryk, aforysta, fraszkopis, ma w Gorzowie wielu fanów, którzy oczekują każdej jego nowej książki. Jego twórczość nie tylko rozśmiesza, ale także pobudza do myślenia i kierowania się w życiu uczciwością, prawdą i zdrowym rozsądkiem. Potrzebna jest także naszemu Miastu, jego władzom i obywatelom dla zachowania właściwych proporcji między interesem publicznym i osobistym. Tadeusz Szyfer przygotował do druku nowy, obszerny zbiór swych utworów i w interesie Gorzowa należy go wydać.

Książką **MARKA STACHOWIAKA**, rocznik 1963, wprowadzamy do życia literackiego i artystycznego Gorzowa nową, fascynującą osobowość twórczą naszego miasta. Choć autor od kilku miesięcy dawał się poznać w Turniejach Jednego Wiersza na Literackich Potyczkach w Gorzowie, a „Pegaz Lubuski” (nr 2/2013 i 4/2014) zamieścił kolumnę jego wierszy, dopiero książka będzie go legitymizować w środowisku twórców Gorzowa. Marek Stachowiak to rzadki, samородny talent – pisze nie tylko poezję, ale również prozę. Późno debiutuje, ale tym lepiej. Prawdziwy talent wymaga dojrzałości. Wiersze Stachowiaka łączą męski, twardy punkt widzenia z delikatnością i świeżością oglądu świata. Nie boi się zatrzymać nad detalem, co zbliża go do poetyki Zdzisława Morawskiego, nie boi się obserwować – a to chyba najważniejsza z cech dobrego poety. Narracyjność w jego wierszach służy opowiedzeniu historii, która przez swoją dobitność budzi w czytelniku wewnętrzną reakcję. To są wiersze gorące, wiersze misyjne. Taką poezję chce się czytać, dlatego mamy nadzieję, że znajdzie nie tylko w naszym środowisku wdzięcznych czytelników. Powróćcie na chwilę na 5 stronę. Tam są jego wiersze!

14. OSTATNI LAMUS!

Tematem wiodącym 14. numeru „Lamus” jest „Mistyfikacja / Podróbka / Zamiast”. Gabriela Balcerzakowa (red. nac.) i Zbyszek Sejwa zapowiadają, że to ostatni numer pisma. Półrocznik „Lamus” zginie z kulturalnego pejzażu Gorzowa razem z Kamienicą Artystyczną „Lamus”. Co urodzi się zamiast?



FINAŁ: NAGRODY i FETA

Zebraną publiczność powitał dyrektor WiMBP Edward Jaworski i krótko nakreślił historię tego konkursu. Pierwszy odbył się w roku 1993, rok po śmierci Zdzisława Morawskiego. Został on zainicjowany przez ówczesnych działaczy i pracowników Klubu Myśli Twórczej Lamus. Przez krótki czas Biblioteka była współorganizatorem konkursu, a w tym roku został on zrealizowany całkowicie samodzielnie przez WiMBP. Do powitań w swoim krótkim wystąpieniu dołączył prezydent miasta, Tadeusz Jędrzejczak. Powiedział m.in.: „To zaszczyt być prezydentem miasta, w którym żył i tworzył Zdzisław Morawski” i wręczył wiązanek kwiatów p. Marii Morawskiej. Kwiatki p. Marii wręczył także dyrektor WiMBP i wicewojewoda, Jan Świrepo.

Imprezę poprowadził Wojciech Kuska, który z kolei przybliżył sylwetkę patrona konkursu. Powiedział o jego twórczości, o przyznanych nagrodach i różnych odznaczeniach. Następnie przedstawił jurorów konkursu. Byli to: Józef Baran – poeta z Krakowa, przewodniczący, Stefan Pastuszewski – poeta z Bydgoszczy, Ireneusz Krzysztof Szmidt – poeta, prezes ZLP Gorzów i Danuta Zielińska z WiMBP, sekretarz.

Konkurs krótko podsumował przewodniczący jury, Józef Baran. Powiedział m.in.: „Konkurs obfitował w dobre teksty, szczególnie dużo dobrych było w kategorii prozy. Z napisanych opowiadań można było wiele dowiedzieć się o aktualnych przeobrażeniach odbywających się w naszym kraju”.

Jeśli chodzi o poezję współczesną, to według niego ona często brnie w niezrozumiałość. Nazwał to tak: „Ćma, ćmie, ćmi”. Poeci piszą często dla siebie albo dla jurorów czy krytyków, językiem pokoleniowym. Szczególnie dotyczy to nagradzanych na licznych konkursach. Kiedyś poeci byli elitą (Herbert, Szymborska, Miłosz itp.). I oni tą elitą zostaną na zawsze. Trudno tak powiedzieć o bardzo wielu współczesnych twórcach. W tym konkursie jury starało się na-

grodzić takie teksty, które trafią do odbiorcy. Proste i komunikatywne, wyraziste, ale oryginalne.

Wreszcie wręczono nagrody laureatom. Niestety, nie wszyscy nagrodzeni na tę uroczystość przyjechali.

W kategorii poezji:

I nagroda – Hanna Antonina Bondarenko z Lublina. II nagrody nie przyznano.

III nagroda – Rafał Baran z Gdańska.

Wyróżniono: Annę Popławską z Krakowa, Danutę Hasiak z Opola, Elę Galoch z Turku, Marka Brymorę z Kalisza, Piotra Zemanka z Bielska Białej.

W kategorii prozy:

I nagrody nie przyznano.

II nagroda – Barbara Kowalewska z Zielonki.

III nagroda – Natalia Titkow z Warszawy.

Wyróżniono: Annę Konstancy z Chlebowa, Czesława Sobkowiaka z Zawady, Zbigniewa Rutkowskiego z Gniewa, Wienczysława Polaczka z Tarnowa i Annę Marcinkowską z Kowala.

Nagrody i wyróżnienia (pieniężne) w obu kategoriach wręczali: dyrektor WiMBP Edward Jaworski, wicewojewoda Jan Świrepo i doradca prezydenta ds. kultury Jan Markuszewski. Laureaci i goście zaproszeni na podsumowanie konkursu otrzymali piękne wydawnictwo okolicznościowe „Słowa, które leczą”, pod redakcją Edwarda Jaworskiego, Danuty Zielińskiej i Anny Sokółki, z ilustracjami Zbigniewa Olchowika.

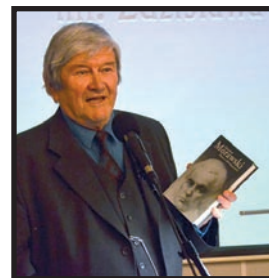
I przyszła chwila na ucztę duchową. Nagrodzone teksty, ozdobione nastrojową muzyką w wykonaniu Marka Piechockiego, przeczytali pięknie Ela Kuczyńska i Roman Wojciechowski.

A na zakończenie kilka ciepłych słów o konkursie i Gorzowie powiedzieli laureaci.

Głos zabrał też juror Stefan Pastuszewski, który powiedział m.in.: „Konkurs im. Zdzisława Morawskiego ma rangę jednego z najważniejszych konkursów organizowanych w Polsce”.

A wicewojewoda p. Jan Świrepo dodał: „Gorzów to miasto, które szanuje twórców”.

Z kolei p. Ireneusz K. Szmidt, prezes Oddziału ZLP w Gorzowie dodał, że współpraca z Biblioteką gorzowską układa się znakomicie. Pod koniec ubiegłego roku ZLP, przy po-



M. Brymora, H. A. Bondarenko, P. Zemanek, B. Kowalewska,
A. Konstancy, Cz. Sobkowiak

mocy miasta, wydał piękną antologię z wierszami Zdzisława Morawskiego, składając w ten sposób hołd jednemu z najważniejszych poetów Gorzowa. Na koniec podziękował p. Danusi Zielińskiej za sekretarzowanie konkursowi i za pracę, wspólnie z p. Anią Sokółką, przy tym okolicznościowym wydawnictwie. Do tych podziękowań dołączył się p. Jan Markuszewski.

Wszystkim za obecność i organizatorom serdecznie podziękowała p. Maria Morawska. A p. Danusi i p. Ani wręczyła „grosiki w kokilkach” na szczęście. Podziękowała też p. Eli Kuczyńskiej, p. Romanowi Wojciechowskiemu i Markowi Piechockiemu. Ostatnie słowo należało do dyrektora WiMBP Edwarda Jaworskiego. Powiedział tak: „Słowa mają zawsze swoją moc, a podane w sposób artystyczny mają zwiększoną wagę”.

I na zakończenie wspólna fotografia laureatów, organizatorów i jurorów...

Tekst: Ewa Rutkowska

Foto: Kazimierz Ligocki



*Maria Morawska i Edward Jaworski
– wzajemne dziękowanie*



lektorzy



LAUREAT JEDZIE DO GORZOWA

Nie myślę codziennie o poezji, wierszach, literaturze itp. Nie nawiedza mnie tak intensywnie żadna muza. Jej twarz, spojrzenie, szyja i włosy. Jaka muza? Zaproponowałem ostatnio pewnej kobiecie, że mogłaby zostać moją muzą – odważyłem się dość naiwnie – muzą bez żadnych obowiązków (np. erotycznych), tylko czasem nastrojowo, czulej się do siebie odezwać, zwierzyć, coś opowiedzieć, coś przeczytać, dać ze swego życia małą krztę sympatii, bym mógł ją, boginię, w swoim ja adorować, i byłaby dla moich wierszy duchem opatrznosciowym. Czytałbym jej rzeczy nowe. Niby słyszała, co mówię, musiała słyszeć, ale nawet nie spojrzała, nie zabłysło jej oko. Cóż to za wyróżnienie, jaka to wyjątkowość i niecodziennosc – dostąpienie względów u poety dzisiaj. Widać żadna. Z tego byłyby tylko wiersze. Kobiety, dziewczyny, dziewczęta są czule i chętne do poświęceń wcale z górnolotnych powodów. Portfele mają znaczenie. Nie bolała mnie więc zanedo, choć bolała, wyraźna obojętność owej niedosłej kandydatki na muzę. O czym tu ja piszę... Zajmuję się wieloma innymi sprawami, które mnie cieszą. Bogactwo codzienności, to moje królestwo – ocean świata, nieskończoność kształtów, odcieni. I obowiązki. Nawet ulubione, jak np. zajmowanie się roślinami, krzewami w ogrodzie, wokół domu, gdy wiosna i lato. Na każdej roślince kładę swój wzrok, nad każdą medytuję. I jadąc, zwłaszcza jadąc, dokądkolwiek jadąc, wchłaniam w siebie mijany krajobraz, ba, krajobrazy, w ich następstwach. Tym się nakręcam, oddycham. Zawsze tak samo. Tak też było przy okazji wyjazdu do Gorzowa po wyróżnienie w konkursie literackim. Czarowały mnie przez okno autobusu rozległe pola ozimin, ciągnące się odcienie seledynu. To znów łąki uroczyste z pojedynczymi krowami, czasem ze stadkiem krów. To lasy, leśne drogi, rowy, zrudziałe już trawy. Sosny, brzozy, olchy, wierzyby. Miasta, wsie, osady, obejścia domów, płoty, bramy, furtki, przybudówki, balkony, auta. Szopki na drewno opałowe. Polepszyło się ludziom. To widać. Wystarczy tylko patrzeć na fasady, na licznie rozsiadane wszędzie nowe domy, już ukończone, zamieszkałe, i te w budowie. W Gorzowie byłem przed siedemnastą w piątek. Wstąpiłem do antykwariatu. Piękna dziewczyna w środku. Już nie mam szansy. Mogę tylko oglądać stopy książek, ładne akwarele też zwracają moją uwagę. Dwieście złotych jednak nie wydam, choć wydałbym, gdybym nie miał już obliczonych wydatków na cały tydzień. Poszedłem jeszcze w stronę Katedry, rzuciłem spojrzenie w kierunku empiku. Znowu ładna dziewczyna. Stoi w pobliżu ulicznego przejścia. Przeszedłem na drugą stronę na zielonych światłach i z dala popatrzyłem na nią. Dalej tam była. Czekwała. W Bibliotece czuło się od samych drzwi, nawet już przy szatni, uroczyste nastroj. Kwiaty w ręce kobiety, pewnie dla kogoś wybranego przeznaczone. Nikt mnie nie rozpoznawał. To nawet dobrze. Pojechałem, nie, poszedłem schodami na piętro, tam akwarele, dziecięce rysunki, malarstwo. Ktoś mówi do mnie, a ja go nie poznaję, ale robię dobrą minę, że się znamy. Ależ znamy się, tylko te lata tak wszystko zmieniają, odbierają jedno, dodają drugie. Pani Danusia Z. ma dla mnie kopertę, a ja chętnie podpiszę w odpowiednim miejscu, że odebrałem. I już jest lepiej. Jest kawa, kanapki. Telewizja kogoś na korytarzu nakręca. Pojawia się pani Marzena. Blondynka. Miła kobieta. Ładny uśmiech. Nawet zebrało mi się na żarty, więc żartujemy chwilę.

(dokończenie na str. 26)

(dokończenie ze str. 25)

Za każdym razem, nie tak częstym jednak, myślę przy takich okazjach, że literackie inicjatywy w Gorzowie są prężniejsze niż w Zielonej Górze. Może to złudzenie patrzącego z zewnątrz, ale tu jakby lepiej się dzieje. Chyba nie do końca to złudzenie. Organizacja konkursu im. Z. Morawskiego pierwszej klasy. Dyrektor Jaworski może być zadowolony. Imprezę zaszczyca prezydent miasta, wojewoda i wojewoda mówi na dodatek, że ze wzruszeniem wsluchiwał się w poezję i prozę laureatów, dobrze zresztą czytana. Imprezie towarzyszą nowe miejscowe, dopiero co wydane książki, pismo „Pegaz” (najnowsze wydanie). Pełna torba. Zabieraliśmy zwyczajowo głos, zrobiono nam zbiorową fotografię. No jest w Gorzowie sporo do docenienia. Pomnik chcą postawić Zdzisławowi Morawskiemu. Bez wątpienia zasłużył, choćby pięknymi wierszami o Gorzowie. Wiele temu pocie osobiście zawdzięczam. Czy u nas Michał Kaziów zasłużył na pomnik? Pomnik to coś spektakularnego. Ale żywy pomnik, to rzecz niezbędna, najważniejsza – konkurs, recytacje, czytanie, jakieś sesje naukowe, gdzie braliby udział żywi ludzie. O to apeluję. I biesiada potem dobrze pomyślana, z jedną lampką wina, więc nie zdążyło w głowie zasumieć. Najważniejsze, że usiedliśmy przy stole i można było zjeść normalnie, nie po żadnemu szwedzkiemu. Pani Danusia Z. gdzieś daleko, Ania Ż. w ogóle poza zasięgiem mojego wzroku. Za to kilka zdań z Krystyną Kamińską, z Markiem Piechockim, i innymi, których widziałem pierwszy raz. W pokoju gościnnym, do którego w pewnym momencie skierowałem kroki, idąc za przewodniczką, bo sam bym nie trafił, więc w tym pokoju po przekroczeniu progu, zamknięciu drzwi, doznałem czegoś w rodzaju trwogi. Nagle dotarło do mnie mocne odcięcie, wyizolowanie z całego klimatu rozmów, gwaru, szumu, widoku wielu twarzy. Piękny pokój, wszystko co trzeba w nim, nawet kabina łazienkowa, ale przez dłuższych kilka chwil nie potrafiłem się odnaleźć. Podziałała na mnie okropna pustka, cisza, uderzająca dotkliwie wręcz, więc wychodziłem chyba z kilka razy na korytarz, by usłyszeć choćby głosy ludzi, jeszcze wewnętrznie domagałem się z kimś rozmowy, a byłem sam, skazany na nasłuchiwanie szelestów, szmerów, stuknięć gdzieś z pobliza. Nie umiałem usiąść ani położyć się na tapczaniku. Stałem, chodziłem. Tam i z powrotem. Zdecydowałem się włączyć telewizor, pilotów kilka, gubiłem się i wtedy wyszedłem znowu na korytarz, jakaś kobieta zdecydowała się mi pomóc, włączała, włączała, aż włączyła i miałem obraz oraz głos. To trochę pomogło w oswojeniu obcości ścian. Wreszcie doszedłem, że nie ma już sensu żadna inna możliwość, gdzieś poza całą tego pokoju, żadna rozmowa nie ma szans, nic nie ma szans. Wziąłem prysznic w chłodnej wodzie, wycierając się dużym ręcznikiem, nawet rozgrzałem się. W pewnym momencie usłyszałem, że do pokoju obok przyszedł juror, Józef Baran. Miałem nawet zamiar porozmawiać. Było już dość późno. Człowiek pewnie zmęczony. Obudziłem się po czwartej nad ranem, po chwili przyszedł mnie budzić ochroniarz Biblioteki, miły człowiek, już byłem ubrany, poczęstowałem go kanapkami, pogadaliśmy. W nocy szedłem na niezbyt odległy dworzec – dziwnie wygląda miasto nocą, zwłaszcza niemal puste. Była sobota, kilka osób stało już na przystanku. W bocznej ulicy przy dworcu policja sprawdzała jakieś auto, cały czas migąło niebieskie światło. Jechałem szynobusem do Zielonej Góry. Za oknem księżyc. Towarzyszył mi. Aż do pogodnego ranka.

O ŁABĘDZIE PIÓRO

W Kawiarni Artystycznej Barlineckiego Ośrodka Kultury odbyło się spotkanie autorskie z **Małgorzatą Kalicińską** – jedną z najbardziej znanych i lubianych polskich pisarek współczesnych, której debiutancka powieść „Dom nad rozlewiskiem”, wydana w 2006 r., zdobyła wielką popularność wśród czytelników i ogromny sukces wydawniczy. Na samym początku spotkania uczestnikom konkursu literackiego „O łabędzie pióro” wręczone zostały nagrody i dyplomy. Wręczała je pani Małgorzata Kalicińska. A otrzymali je:

Kategoria – Proza 7-13 lat

- I miejsce Daria Potyra za opowieść pt. „Przygody Asi”
- II miejsce Aleksandra Stanisławska za „Kocicę Melanię”
- III miejsce Adrianna Łubkowska za „Jezyka Pysia i nowy dom”

Wyróżnienie:

- Kinga Wejman za „Kochanego kota Czarka”
- Marcelina Łyczak za „Chomika Balbinę”

Kategoria – Proza powyżej 19 lat

- I miejsce **Janusz Włodarczyk** za humoreskę pt. „Robin z Locksley”

Kategoria – Poezja 14-19 lat

- I miejsce Damian Skrzypek za wiersz „Jesień, mama, drzewo”
- II miejsce Patrycja Gawin za wiersz „Ja i Ty”

Kategoria – Poezja powyżej 19 lat

- I miejsce **Janusz Włodarczyk** za wiersze „Mały Książę” i „Wędrowiec”
- II miejsce **Jolanta Karasińska** za „Ode do zepsutego kranu”



Od lewej: Jola Karasińska, Małgorzata Kalicińska, Janusz Włodarczyk



Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO
ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: **Ireneusz Krzysztof Szmidt**, tel. kom. 501 520 227, tel./fax 95 729 50 80. Sekretarz red.: **Danuta Zielińska**. Współpraca: **Krystyna Kamińska**, **Marek Grewling**, **Beata P. Klary**, **Kinga Mazur**, **Agnieszka Moroz**. Grafika i rysunki: **Zbigniew Olchowik**, **Tadeusz Szklarski**. Zdjęcia: **Aneta Długołęcka**, **Ferdynand Głodzik**, **Andrzej Haegenbarth**, **Beata P. Klary**, **Kazimierz Ligocki**, **Piotr Merda**, **I. K. Szmidt** oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: **Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zb. Herberta**, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i **ZO ZLP**, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: zlp.gorzow@wp.pl; e-mail: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: **Daniel Besta** i **I. K. Szmidt**.

(dokończenie ze strony 28)

w takich sprawach i ściągnął mnie z prowincji. A ja stworzyłem specjalną policję podatkową, uzbroiłem ją, dałem jej szerokie uprawnienia i wolną rękę. Mało tego, oprócz stałej pensji funkcjonariusze otrzymują prowizję od ściągniętych podatków. Dlatego są bardzo zmobilizowani i diabelnie skuteczni, jak się miałeś okazję przekonać na własnej skórze.

– Zaczynasz mnie przerażać, Szeryfie. O jakich to podatkach i opłatach mówisz? – odparł nieco pokorniejszym tonem przywódca banitów.

– Zaraz ci w skrócie powiem.

Szeryf wyciągnął zza pazuchy zwinięty rulon pergaminu zapisany drobnym maczkiem.

– Chociaż, nie. Dowiesz się wszystkiego jutro rano na rozprawie sądowej, której będę przewodniczył. Szeryf zwinął rulon, schował go pod kaftan i dodał:

– Będzie ciekawiej. Tymczasem życzę ci miłego wieczoru i spokojnych snów, chociaż na twoim miejscu nie zmrzyłbym oka do rana. Masz powody do zmartwień.

Dodał zjadliwie Szeryf i wyszedł, a wraz z nim ubrani na czarno strażnicy. Dopiero teraz zobaczył na ich plecach biały napis wykonany wielkimi literami: POLICJA SKARBOWA.

Rano niewyspany i głodny więzień doprowadzony został na salę rozpraw. Po koszmarnie długiej nocy, targany wątpliwościami, chciał mieć to wszystko szybko za sobą. Słowa Szeryfa, a zwłaszcza ton groźby i triumfującego szyderstwa, napawały go niepokojem. Jednak cierpliwość jego była wystawiona na ciężką próbę. Minęła godzina, od kiedy go wprowadzono. Potem druga i trzecia. Uśmiechnięty Szeryf pojawił się dopiero, gdy cień na zegarze słonecznym wskazał godzinę drugą. Wraz z nim na salę wkroczyli trzej mężczyźni. Pierwszy ubrany w purpurowe szaty, drugi w zielone, trzeci był starym znajomym oskarżonego. Sir Guy z Gisbourne, prawa ręka Szeryfa. Mężczyzna w zieleni usiadł obok Robina, purpurat w ławie naprzeciwko niego. Natomiast Gisbourne zajął miejsce po prawej stronie obok Szeryfa. Ten rozparł się wygodnie w fotelu, postawionym na wysokim katafalku i skinął głową w kierunku woźnego, który trzykrotnie zastukał łaską o posadzkę i rzekł:

– W imieniu łaskawie nam panującego Ryszarda I, zwanego z powodu swych niewątpliwych zalet Lwim Sercem, z Bożej łaski króla Anglii, księcia Normandii i Akwitanii, hrabiego Andegawenii etcetera, etcetera, otwieram postępowanie karno-skarbowe wobec obecnego tu Robina z Locksley zwanego też Robin Hoodem. Głos zabierze oskarżyciel.

Tu wskazał ręką na mężczyznę siedzącego naprzeciw więźnia.

Prokurator wstał, skłonił się w kierunku Szeryfa i powiedział:

– Panie, oto stoi przed naszym obliczem wielokrotny przestępca podatkowy Robin z Locksley. Oskarżam go o niepłacenie następujących podatków:

– podatku od osób fizycznych, którego oprócz tradycyjnej dziesięciny obejmuje również przychody ze źródeł nieujawnionych. Oskarżony nie prowadził ewidencji przychodów uzyskanych z rozboju w lesie Sherwood, co było jego świętym obowiązkiem w świetle rozporządzenia łaskawie nam panującego Ryszarda I;

– podatku od towarów i usług, który to oprócz obowiązkowej daniny za odpłatną dostawę towarów obejmuje również przekazywanie towarów podatnika na cele inne niż związane z prowadzonym przedsięwzięciem. Ponadto podatek ten obejmuje również przekazywanie towarów na cele osobiste lub pracowników. A tym było rozdawnictwo rzeczonych usług i towarów dla członków drużyny Robina;

– podatku od darowizn, którego należało zapłacić z tytułu rozdawnictwa łupów dla biednych chłopów;

– podatku od nieruchomości, a więc gruntów odziedziczonych po przodkach i zamków będących we władaniu dziedzicznym Locksleyów;

– podatku rolnego z tytułu gruntów i budynków sklasyfikowanych jako użytki rolne, w tym grunty zarzewione, a więc las Sherwood, który, jak wiadomo, jest pod zarządem oskarżonego;

– podatku od zwierząt, który dotyczy psów. Wiadomo wszystkim, że zwolnione z opłat jest posiadanie dwóch psów, a sfera Robina liczy sobie ich piętnaście sztuk;

– podatku od środków transportu, to jest dwukółki braciszka Tucka i wszystkich przejętych wozów, jakie swego czasu zagrabil banici od niezbędnych kupców;

– podatku drogowego za korzystanie z traktu wiodącego przez las Sherwood;

– podatku za ochronę środowiska, obejmującego opłaty klimatyczne, opłaty za pobór wód i odprowadzanie ścieków, za składowanie odpadów, za chów i hodowlę zwierząt i w końcu opłatę za wywóz i utylizację śmieci.

Odrębną kwestię stanowi nieopłacanie składek ubezpieczeń zdrowotnych, emerytalnych i rentowych, a przecież wiadomo, że po osiągnięciu wieku emerytalnego trzeba będzie łożyć na utrzymanie niezdolnych do pracy i emerytów, członków jego drużyny, jak i jego samego.

Ogółem z tytułu niezapłaconych podatków Robin z Locksley winien jest królestwu kwotę około 30 tysięcy marek w złocie. Nie licząc odsetek i kar.

– Ile? – wykrzyknął Robin, zrywając się z ławki. – To niemożliwe, to jest jawne bezprawie!

– O, nie, nie – Szeryf uśmiechnął się szyderczo. – To jest prawo. A prawo to ja. Nie udzieliłem oskarżonemu głosu, proszę zatem usiąść i milczeć. Jeśli jeszcze raz bez pozwolenia oskarżony zabierze głos, zostanie usunięty z sali. Głos ma teraz obrońca z urzędu.

Człowiek w zielonej szacie wstał, skłonił się w kierunku Szeryfa oraz oskarżyciela i powiedział:

– Wysoki trybunale! Nie da się ukryć, że mój klient jest winny, musi zapłacić należne podatki i poddać się karze. Proszę jednak o łaskawe go potraktowanie i rozłożenie płatności tej sumy na raty.

Tu skłonił się i usiadł.

– Teraz głos może zabrać oskarżony, o ile ma cokolwiek do dodania – powiedział Szeryf.

Robin wstał, spojrzął po obecnych i rzekł:

– Szeryfie, ja rozumiem, że podatki trzeba płacić, ale skąd miałem o nich wiedzieć, skoro nikt mnie o nich nie poinformował. Jestem niewinny.

– No cóż, Robinie – odparł Szeryf, wychylając się w fotelu w kierunku oskarżonego. – Tu się mylisz. Niejednokrotnie obecny tu Sir Guy z Gisbern wiozł do ciebie pisma w tej sprawie i wezwania do zapłaty, ale twoi ludzie napadali go, pozbawiali broni i pieniędzy, a listy, jako że byli niepiśmienni, wyrzucali. Trzeba było ich nauczyć czytać. Zatem twój argument o niewiedzy muszę oddalić. Poza tym, jak by nie patrzeć, nieznaną ci prawa i jego przepisów nie zwalnia od jego przestrzegania i egzekwowania. Obowiązkiem każdego obywatela jest zapoznanie się z obowiązującymi przepisami. „Dura lex, sed lex” mój drogi przyjacielu. Nic na to nie poradzę. Płac i płac.

Powiedział Szeryf, obdarzając swojego rozmówcę wilczym spojrzeniem.

– No, trudno. Na układy nie ma rady – westchnął zrezygnowany Robin Hood – na dzień dzisiejszy mogę wpłacić tylko część kwoty, bo nie dysponuję aż tak dużymi pieniędzmi. Mam w banku w Nottingham sporą sumkę, jaką sobie odłożyłem na spokojną starość. Ona pokryje, jak sądzę, więcej niż połowę należności. Resztę postaram się spłacić jak najszybciej, gdy tylko sprzedam mój zamek rodowy.

– No, nie bardzo masz te pieniądze. Edyktem króla twoje nieruchomości zostały zajęte przez komornika jako zabezpieczenie wiarygodności wobec urzędu podatkowego. Więc póki co nie możesz ich sprzedać. Zaś twoje pieniądze, jak to określiłeś, odłożone na spokojną starość, przelane zostały na konto skarbnika królewskiego i będą dostępne dla ciebie dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego.

– Dopiero jak skończę 65 lat – spytał Robin?

– O, nie, nie, mój panie. Tu też w międzyczasie zaszły zmiany. Dopiero jak osiągniesz wiek 67 lat – uśmiechnął się niewinnie Szeryf. – Wiesz, ludzie teraz żyją dłużej, są zdrowsi, no i królestwa nie stać na to, by siedzieli w domach bezproduktywnie. Poza tym, gdy dożyjesz tych lat, otrzymasz wyższe świadczenia, niż gdybyś je dostał według starych zasad. To tylko dla twojego dobra, Robinie z Locksley.

– Dla mojego dobra!

– Oczywiście, że dla twojego dobra. Nasz dobry król najlepiej wie, co jest dobre dla jego ludu.

Robin z Locksley, zwany Robin Hoodem, całkiem załamany siadł z wrażeń i jęknął zrezygnowany:

– I to niby ja miałem być tym złodziejem, rozbójnikiem i grabieżcą...

Janusz Włodarczyk ROBIN Z LOCKSLEY

Robin ocknął się z ogromnym bólem głowy. Otworzył oczy. To, co zobaczył, zaskoczyło go całkowicie. Zamiast znanego mu wnętrza szałas w lesie Sherwood, ujrzał ciemny loch. Mało tego, leżał na stercie półzgnitego siana, a nogi krępowały mu kajdany połączone grubym łańcuchem ze ścianą lochu. Powoli powracała mu pamięć ostatniej nocy. Prawie już usypiał po trudach dnia i sutej kolacji, gdy z mroku wynurzyły się upiorne postacie całe w czerni. Przygniotły go do legowiska, związały ręce i nogi, a na głowę zarzuciły śmierdzący worek. Po chwili poczuł silne uderzenie i pogrążył się w ciemnościach. Teraz zaczął zastanawiać się, kto i po co uprowadził go z obozowiska? Jakim cudem napastnicy ominęli tak czujne strażę? Jego wrogowie, a miał ich wielu, niejednokrotnie nasyłali na niego skrytobójców, nigdy jednak nie udało im się dotrzeć do pilnie strzeżonego obozu. Jego rozważania przerwał zgrzyt otwieranej kraty. Wnętrze lochu rozjaśniało blaskiem pochodni niesionych przez pacholków, za którymi wkroczył znajomy mu skądinąd odwieczny wróg, Szeryf z Nottingham.

– Witam w moich skromnych progach – powitał go z szyderym uśmiechem. – Dawno się nie widzieliśmy, prawda? Przypomnij mi, drogi przyjacielu, kiedy to było?

Robina zatkało przez chwilę. Przecież z rozkazu króla Ryszarda Lwie Serce, po jego powrocie z niewoli u Saracenów, Szeryf został pozbawiony stanowiska i zesłany na prowincję. Robin Hood i jego drużyna uzyskali amnestię, pozwolono im też dalej mieszkać w ukochanym lesie Sherwood. To było dwa lata temu. Król Ryszard wyruszył na kolejną wyprawę krzyżową.

A teraz jego najgorszy wróg stoi przed nim ponownie ozdobiony insygniami sprawowanego dawniej urzędu. Jakim cudem?

Zagotował się w środku: – Jakim prawem mnie więzisz łajdaku! Przecież nasz dobry król ogłosił amnestię! Nie jestem już banitą. A tak w ogóle, co robisz w tym stroju urzędnika państwowego i skąd się tutaj wzięłeś? Wszak król odesłał cię na prowincję, abyś tam robił za gryziopórka.

– No cóż, raz pod wozem, raz na wozie. Czyżbyś nie wiedział, że fortuna kołem się toczy? Otóż, nasz dobry król, oby żył wiecznie, przywrócił mnie na stanowisko. Mój następca nie dawał sobie rady z nowymi obowiązkami i potrzeba było postawić na jego miejsce fachowca z prawdziwego zdarzenia. Ot i cała tajemnica.

– No dobrze, rozumiem. Z władzą się nie dyskutuje, to wiadomo od dawna – odparł Robin. – Ale jakim prawem mnie uwięziłeś? Wszak Ryszard uniewinnił nas od winy i kary. Nie możesz nas tak bez powodu aresztować.

– Masz rację, bez powodu, oczywiście, nie mam prawa cię aresztować. Nie przymknąłem cię jednak za dawne napady na kupców i bogaczy. Odpowiesz, mój drogi przyjacielu, przed sądem za niezapłacenie podatków.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się więzień. – To musisz mnie natychmiast uwolnić. Co jak co, ale podatki płacę regularnie. Wiadomo, że dwie rzeczy na tym świecie są nieuchronne. Śmierć i podatki. Ani od jednej, ani od drugiej się nie wywiniesz. Na śmierć mam jeszcze czas, a dziesięćcinę płacę w terminie i co miesiąc. Zatem wydaj tym swoim pacholkom rozkaz, by natychmiast mnie uwolnili. A tak przy okazji, to jakim cudem mnie pochwyciliście? Tyle razy próbowaliście, ale nigdy nie udało wam się trafić do naszego obozu.

– Hm. Trzeba ci wiedzieć, Robinie z Locksley, że niezajomość prawa nie zwalnia z odpowiedzialności. Kiedy ty żyłeś sobie beztrudnie w lesie Sherwood z dala od świata, wiele się zmieniło. Nasz dobry król Ryszard poczuł nagłą chęć na kolejną krucjatę. A ponieważ skarbiec ział pustkami, a taka zagraniczna wycieczka, jak wiadomo, jest kosztowna, wprowadził nowe podatki i opłaty obowiązkowe, przy których dotychczasowa dziesięćcina to przyszc. I tychże podatków nie raczyłeś zapłacić. Mój poprzednik nie potrafił ich od ciebie ściągnąć i dlatego stracił posadę. Król przypomniał sobie, jak bardzo byłem skuteczny

(dok. na stronie 27)

Jola Karasińska

**ODA DO...
ZEPSUTEGO KRANU**

Czasem mnie drażnisz
kiedy wciąż kapiesz,
bo słyszę stukot
co jękiem duszy
drażny mój umysł
i spięte ciało.
Jak skałę kruszy!
Lecz kiedy szumem

przyjaznym wracasz,
to nadśluchuję
twego bulgotu
i tak się cieszę,
że w samotności
jesteś wciąż ze mną,
choć burzysz spokój.

Już cię nie będę
męczyć zajadłe
kombinerkami,
francuskim kluczem,
bo ty zapalasz lampkę

nadziei
wszak cierpliwości
z tobą się uczę.

Więc kap dostojnie
i dzwoń kroplami,
tę melodyjkę tak
dobrze znaną.
Smutno mi było,
gdy się zepsułeś.

Z tobą mi łatwiej
być niekochaną!

FERDYNAND GŁODZIK

Sposób na biedę

W dalekim kraju, hen przed laty,
gdzie strome góry i rzek siedem,
żył chłop, co miał na spodniach łaty,
i nieustannie klepał biedę.

Gdy ku zmierzchowi dzień się słaniał,
a chłop po pracy zgłodniał zdrowo,
trzymając biedę na kolanach,
chciwie obgryzał kość szpikową.

Bieda za szyję go trzymała
i zawodziła głośnym szlochem:
– też jestem chuda, wygłodniała,
podziel się ze mną, daj mi trochę!

Chłop był wrażliwy na jej łkania,
powiada: jesteś smukła, bystra,
niewiele tu do obgryzania,
wejdz do tej kości by ją wysssać.



Gdy bieda weszła już do środka,
by się nasycić krzywą szpiku,
to chłop z szuflady dobył młotką,
kość zabił korkiem i po krzyku.

Choć bieda piszczy: puść mnie miły!
Chłop rad, że wreszcie jej nie klepie,
docisnął korek z całej siły
i odtąd wiodło mu się lepiej.

Gdy spłacił swój ostatni kredyt,
bo miał dochody całkiem spore,
usłyszał głos piszczącej biedy,
zdjęła go litość, wyjął korek.

Bieda chwyciła go w ramiona,
bez gniewu za doznane krzywdy:
– Ja jestem tobie przeznaczona,
teraz nie puszczę cię już nigdy!

Chłop późno błąd swój pomiarkował,
gdy mu od jęków puchły uszy;
chętnie by biedę zakorkował,
lecz korek gdzieś się zawieruszył.

Wielu i dzisiaj klepie biedę,
w przeróżnych tonąc prowizorkach,
rząd chciałby kraj zamienić w Eden,
lecz ciągle szuka tego korka!